

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 27 października 1947 r.

Nr 43 (112)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ZOFIA NAŁKOWSKA

O MIROSLAWIE KRLEŻY

JUŻ PRZED wojną Mirosław Krleża zarówno przez wyznawców swoich jak i przeciwników, uznany był za największego pisarza Jugosławii. Jego nazwisko zajmuje ten sam szczebel sławy, na którym znalazł się wielki rzeźbiarz Jugosławii, Meštrović. Gdy jednak ten, zarówno w praktyce, jak w działalności publicznej, dawał wyraz dziejowej mistyce przeszłości, religijnej, nadprzyrodzonej koncepcji narodu i władzy, Krleża całą swą twórczością i życiem tkwi w samym sędnie rzeczywistości historycznej, w płonącym węzle konfliktów społecznych, psychologicznych i poznawczych.

Interes jaki może przedstawiać ta twórczość dla nas i dla Europy, nie ogranicza się bynajmniej do egzotycznego uroku obrazów natury południowej i bardziej gwałtownych, bardziej krwistych, niż nasze namiętności ludzkich. Zarówno proza jego jak i liryka, dramat, publicystyka, studia teoretyczne i świetne, pełne grzyzącego dowcipu pisma polemiczne — to wszystko pulsuje, huczy i tętni od ścierania się i zaszewiania najbardziej dojmujących zagadnień współczesności. Ta wielka rozpiętość tematyczna i służąca jej wieloraka technika wyrazu, a zarazem gruntowna, historyczna i socjologiczna wiedza w połączeniu z erudycją w dziedzinie estetyki i filozofii ukazują nam tego kroakiego pisarza w proporcjach całkowicie europejskich.

Krleża zaczął pisać jeszcze podczas wojny światowej. W procesie jego i dramatach wyraża się ona nie tylko jako zjawisko dziejowe i społeczne, ale jako dyscyplina rozważona w kategoriach wiedzy strategicznej. Krleża bowiem, jako jeden z najlepszych uczniów węgierskiej podchorążówki, gdzie wstąpił wbrew woli ojca, dostał się do akademii Wojskowej w Budapeszcie, tak zwanego Ludoviceum, gdzie odbywała studia młodzież, „z kasty snobów, baronów i antysemitów”. Krleża uciekł z Budapesztu, przez Saloniki dostał się do Serbii i usiłował zaciągnąć się do szeregów walczącego wojska serbskiego. Zaareztowano go jednak, podejrzewając w nim szpiega i eskortowano do Belgradu. Gdy przedostał się stamtąd przez Sawę do chorwackiego miasta Zemuna został ponownie aresztowany na zasadzie listu gończego z Ludoviceum, jako dezertler i pozbawiony stopnia oficerskiego. Na wojnę światową wyruszył jako szeregowiec i brał udział w walkach armii austriackiej na terenie wschodniej Małopolski.

W zbiorowym wydaniu jego dzieł pisma z tego czasu objęte są tomem zatytułowanym: „Chorwacki bóg Mars”. Tom ten ukazał się u nas przed wojną w przekładzie H. Siemickiej z przedmową J. Bensińca jako tom XIII „Biblioteki jugosłowiańskiej”.

Już od młodości proza Krleży ma tę biologiczną dynamikę, wypukłą, mięsistą brylowatość, która w całej pełni oddaje meustające życie rzeczywistości, dławiące się nadmiarem istnienia. Jego człowiek jest autentyczny, jest jedyny prawdziwy, ma duszę całkowicie pomieszaną z ciałem, nasyconą krwią i cierpieniem. Rzeczywistość chwytą Krleża ścisłym skonstatowaniem, niemal naukową diagnozą — zanim rozplynie się w fikcji metafizycznej, przygwaźdza ją do ziemi, mocno zamyka w niej człowieka. Jego książki oskarżają w sposób namiętny i pociągają do odpowie-

dzialności, jednakże cała sprawa rozgrywa się między człowiekiem i ludźmi.

W późniejszych nowelach, jak „Diabła wyspa” albo zbiór „Tysiąc i jedna śmierć” powraca wciąż problem moralności społecznej. Człowiek nowy miota się w udręce wśród starego świata, przyciemnionym intensywności oskarżenia i protestu posługuje się wszystkimi nieodpartymi argumentami wartości życia. Poczucie najgłębszych zobowiązań jednostki wobec zbiorowości i tragizm podporządkowania jednego i niepowracającego życia własnego jej celom jest częstym tutaj motywem dramatu.

W wielkim cyklu „Glembajewi” Krleża zajął się — jakby dla dopełnienia zgłębianego dotąd świata ideowców, inteligentów, prostaków, żołnierzy i nędzarzy, — sferą wielkiej burżuazji finansowej. Nie jest to szereg tomów powieściowych, jak w modnym obecnie „roman fleuve”, ale zbiór biografii, skrótów, prawie naukowych studiów historycznych i biograficznych — jakby szło o jakiś ród rzeczywisty tych Glembajewów, jakby się rozważało i osądzało obowiązujący dokumentarny materiał życia. Książka poprzedzona jest ścisłą genealogiczną tablicą rodu Glembajewych. W tekst prozy niejako wpuszczone są trzy związane z nim tematycznie dramaty sceniczne, dające w krótkich spiecznych gwałtownych wyładowaniach zmagających nienawiści społecznych, a także parę nowel, które mimo ścisłego związania tematem i postaciami z całością, mają całkowitą autonomię formalną.

Z cyklem Glembajewych łączy się tematycznie również powieść ostatnia: „Powrót Filipa Latinovića” — studium rozpadu „glembajewszczyzny”, wyrodnienia demonicznych instynktów życia i dynamiki sprzeczności społecznych.

RADOWAN ZOGOWICZ

WSPÓŁCZESNA LITERATURA JUGOSŁOWIAŃSKA

JESZCZE przed okupacją zaznaczyli się w jugosłowiańskiej literaturze dwa wyraźne kierunki: antyfaszystowski i profaszystowski. Na uboczu trzymali się znani pisarze starszego pokolenia. W przeszłości twórczość ich odznaczała się realizmami i rewolucyjno-romantycznymi tradycjami, przy wykorzystaniu sztuki ludowej.

W okresie pierwszej wojny światowej pisarze ci byli ściśle związani z wyzwoleniczą walką naszych narodów. Gdy stało się jasnym, że znów zbliżają się ciężkie dni dla naszej Ojczyzny, gdy komunistyczna partia z Marszałkiem Tito na czele wzywała do jedności i mobilizowała wszystkie patriotyczne siły do walki z faszysmem, pisarze starszego pokolenia zbliżyli się do pisarzy antyfaszystów, biorąc rozbrat z kierunkiem formalistycznym, zwłaszcza z formalistami dawnego typu. Okupacja kraju, walka wyzwolenicza i walka miejscowych kolaraborantów przeciwko ruchowi oporu, doprowadziła do zakończenia procesu rozdziału między pisarzami. Faszystów i profaszystów, „integralni” oraz „poetycy nacjonalistów”, jak samych siebie nazywali — poszli na współpracę z okupantem, ruchem „Ustaszki” i czelników (Mile Budak, Swiatosław Stefanowicz, Welmar Jankowicz, Mirko Jawornik, Antoni Mizeteo i inni). Z nimi połączyły się grupki trockistów, którzy w czasach przedwojennych nie odgrywali w literaturze żadnej roli, a podczas okupacji, stali się ideologami narodowego socjalizmu, aktywnymi współpracownikami niemiecko-ustaszewskiej i niemiecko-nacjonalistycznej prasy i periodyków, zajmując niejednokrotnie stanowiska ustaszewskich i ne-

Krleża posiada kompetencje w zakresie rzeczywistości wogóle. Nie pewnych jej wybranych, bliskich mu terenowo wycinków, ale znajomość rzeczywistości społecznej jako przedmiotu. I ten więc świat wielkiej międzynarodowej finansjery wbudowany jest mocno w tło historyczne, wymotywowany przez swą klasową rację stanu, odtworzony w najdrobniejszych rekwizytach bytu i najbardziej wstydlivych zawiłościach psychiki. Ci bankierzy, artyści, wielcy oszuści, mordercy i samobójcy, obarczeni dziedzicznie pulsującą namiętnością krwi południowej Włochów, Węgrów, Greków i wszelkich Słowian — eksponują się całkowicie swym słowem, gestem, grymasem, całą biografią. Każdy z nich ma za sobą swoją rację, jest zupełnie przekonywujący. Każdy ma słusność, wynikającą z jego najgłębszej jakości, określonej historyczną, społeczną i biologiczną koniecznością. Dlatego ich zwracanie się w walce, natura niszczącego ich dramatycznego konfliktu ma tak nieodpartą wymowę.

W całym szeregu powieści, mnóstwie nowel, paru tomach liryki i kilkunastu dramatach widzimy organizację twórczą, którą charakteryzuje siła wybuchu i masywność materiału raczej, niż opanowanie tem peramentu artystycznego, czy syntetyczny skrót. Dorobek ten uzupełniają tomy badań z dziedziny literatury i sztuki jugosłowiańskiej zarówno jak europejskiej — studia o Rillem, Prouście, Shawie, i liryce niemieckiej, o malarstwie Goyi, Grosa i szeregu innych. We wszystkich tych pracach Krleża stosuje ściśle naukową metodę porównawczą. Opierając się na dialektyce materialistycznej ustawia twórcę i człowieka w terenie historycznym i tle społecznym.

Rozłam nastąpił także między wyznawcami hasła „sztuki dla sztuki”. Znamy przedstawieli tego kierunku, którzy latami całym twierdzili, że od pisarza należy wymagać by „był samym sobą” zaczęli współpracować z okupantami, broniąc narodowo-socjalistycznej ideologii i tendencji nędzno-czetnikowskiej (Antoni Bonifacjusz, Syma Pandurowicz, Lubo Wizner, Dżuro Wilowicz, Olinko Delorke i inni). Inna, nieznaczna część pisarzy tego kierunku zajęła stanowisko wyczekujące. Pisała o tych samych problemach i tym samym stylem co przed wojną, lecz nie publikowała swych utworów w okupacyjno-kolaraboracyjnej prasie. Taką samą bierną wyczekującą, pozycję zajęli niektórzy epigoni realizmów i rewolucyjno-romantycznych tradycji w jugosłowiańskiej literaturze.

Pisarze antyfaszystowscy wzywali natomiast do aktywnej, otwartej walki przeciwko okupantom i ich miejscowym zwolennikom, zwalczała również dawne stosunki i walczyli o ludzką, twórczą przyszłość. Pracowali oni w partyzanckich oddziałach, w wojskach ruchu oporu, jako żołnierze i polityczni kierownicy na stanowiskach redaktorów oraz współpracowników wojskowych gazet i tygodników. Aktywny udział w organizacji oświaty i sztuki ludowej, zarówno w armii jak i wśród ludności oswobodzonych obszarów, był również jedną z głównych form działalności pisarzy antyfaszystowskich. Wie-

Wpisano do kontroli periodycznej
Miejskiej wypożyczalni
dla dorosłych

„Socjalizm humanistyczny”, wyższy ponad wszelką aktywność i wynoszący się ponad tłum, proponuje swe usługi jako sędzia w rozgrywanym meczu. Tymczasem ci pseudo-humaniści zasklepieni w światach czystej idei, rozważają zagadnienia socjalizmu, tworzą definicję demokracji doskonałej i dyskutują nad świętymi prawami jedności tak, jak niegdyś scholastycy dyskutowali nad pięcią aniołów.

Edgar Lalmand

TREŚĆ NUMERU:

- ZOFIA NAŁKOWSKA —
O MIROSLAWIE KRLEŻY
- RADOWAN ZOGOWICZ —
WSPÓŁCZESNA LITERATURA
JUGOSŁOWIAŃSKA
- PAWEŁ HERTZ —
W STRONĘ TURGIENIEWA
- MIECZYSLAW WIONCZEK —
GALERIA PORTRETÓW
ROOSEVELTA (I)
- ZBIGNIEW BIENKOWSKI —
NAD TOBĄ.
- DIDEROT —
ROZMOWA D'ALEMBERTA
Z DIDEROTEM
- HANNA KULĄGOWSKA —
NIEMCY O SOBIE
- WŁODZIMIERZ SOKORSKI —
O WŁASCIWE ROZUMIENIE RE-
FORMY WYŻSZEGO SZKOLNIC-
TWA
- BARBARA RAFAŁOWSKA —
ZA PARAWANEM „KONCEPCJI
ZACHODNIEJ”
- STEFAN OTWINOWSKI —
W KRAKOWIE
(list dwudziesty dziewiąty)
- KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
- PRZEGLĄD PRASY
- KORESPONDENCJA
- NOTY.

Rzecz szczególna, że ten stopień pisarskiej widzialności, tę uderzającą nacożność pisanego świata osiąga Krleża nie wyłącznie realistycznym trybem swych utworów. W prozie powieściowej posługuje się nie rzadko introspekcją, w dramatach konfliktów społecznych pogłębia ich psychologiczną komplikacją, w poezji nowoczesność łączy z wielkim bogactwem barw, egzotyką i patosem.

Zofia Nałkowska

od okupanta. Ukazanie się gazety „Borba“ w Krainie, pojawienie się słoweńskiej i chorwackiej prasy na uwolnionych obszarach Chorwacji i Słowenii pomogło wydatnie w rozwoju literatury partyzanckiej.

Wielkiego dzieła dokonał w tej wojnie i to zarówno jako poeta jak i jako człowiek Włodzimierz Nazor. Ten siedemdziesięcioletni poeta zdziałał więcej dla walki wyzwoleniczej naszych narodów, niż jakikolwiek inny pisarz. Jego pojawienie się wśród walczących ożywiło wydatnie działalność literacką. Znaczenie literatury w walce o wolność zwiększyło się i wzrosła jej rola. Przez cały okres wojny nie zamilkł pisarz-partyzant sławiąc bohaterstwo swego narodu.

Walka wyzwolenicza rozwijała się pomyślnie. Pisarze nabierali wojskowego i literackiego doświadczenia. Na oswobodzone obszary i do oddziałów na terenach okupowanych przybywali pisarze coraz nowi, pojawiały się nowe, młode talenty z pośród ludu. Coraz wyżej podnosił się kulturalny i rewolucyjny poziom walczących żołnierzy, wzrastał pęd do książek i literatury.

Gdy skończyła się pięcioletnia walka o wolność, pisarze-partyzanci mogli wykazać się pięknymi osiągnięciami. Wydano ponad dziesięć zbiorów pieśni o walce za wolność: —

„Zwycięzcy wicherzy“ — Macieja Bora, „Pieśni partyzancki“ — Włodzimierza Nazora, „Pieśni“ — Karola Destownika, „Ojczyzna ródzi się w ogniu“ — Branka Czopicza, „Partyzancki“ — Włodka Markowskiego, wspólny zbiorek najmłodszych słoweńskich poetów-partyzantów itd. Pisarze dawali obraz walki o wolność w utworach takich jak: „Jama“ — Horana Kowaczicza, „Pieśni o życiu marsz. Tito“ — R. Zogowicza i inni.

Bohaterskie czyny narodu zostały utrwalone w powieściach, reportażach literackich, dziennikach i fragmentach jak: „Z partyzantami“ — W. Nazora, „Prawdziwa legenda“ — I. Popowicza, „Za zwycięstwo“ — I. Chorwata, „Bezimienni“ — I. Doncewicza, „W pierwszej linii“ — I. Barłkowicza, „Opowiadania partyzancki“ — B. Czopicza, „Dziennik“ — Dragoiha Dudyca, itd.

Wielką jest również liczba pieśni, jednoaktowych sztuk, nowel, fragmentów itd., wydrulkowanych w czasie wojny (O. Zupanczica, M. Klopoczica, T. Seliskara, Cz. Minderowicza, W. Kaleba, W. Popowicza, I. Kasztelana, I. Francicwicza, Z. Sztabuka, K. Racina, D. Kostica, R. Czołakowicza, M. Baniewiczza, A. Szopowa, C. Janiewskiego, P. Leweca i innych, wyżej już wymienionych pisarzy).

Po uwolnieniu kraju zasadniczym tematem w literaturze stały się zagadnienia odbudowy. Treść poematów, wierszy, nowel i innych utworów literackich stanowią w dużym stopniu opisy wspaniałej, twórczej pracy robotników, młodzieży i inteligencji.

Nie brak utworów o braterstwie i współpracy narodów słowiańskich. W publicystyce wiele miejsca zajmuje demaskowanie ciemnych machinacji imperialistów oraz knołów wewnętrznej i międzynarodowej reakcji.

Od czasu oswobodzenia po dzień dzisiejszy ukazały się w Jugosławii następujące książki (wymieniamy tylko dzieła zasadnicze i najbardziej wartościowe):

„Barwinek pod śniegiem“ — poemat O. Zupanczica, „Most nad Driną“, „Trawniacka kronika“ i „Panienka“ — powieści Iwo Andryca, szkice Jusza Kozaka, „Partyzantka Mara“ i „Kurjer Lodia“ i wiele innych, poprzednio wymienionych.

Ukazały się interesujące utwory początkujących pisarzy — Mira Aleczkovicza, Risto Toszowicza, Sławka Janiewskiego, Franciszka Kosmacza, Iwe Minati. Niektórzy z tych pisarzy braли czynny udział w walce partyzanckiej, jak Toszowicz, Aleczkowicz i Minati.

Inni ucześniejął w czasie okupacji do szkół średnich lub przebywali w „naukowych“

zakładach Nedicza. W utworach tych ostatnich daje się odczuć nastroj pełen przygnębienia, dekadencji, prymitywizmu i schyłkowy ekspresjonizm. Niektórzy nawet w utworach najmłodszych pisarzy partyzantów uderzają tendencje formalistyczne; przeciętną wartość literacką wydanych książek można uważać za wysoką.

Narody Jugosławii mają w tej chwili za sobą wielkie osiągnięcia i dobrą literaturę. Jednak mimo tych osiągnięć, trzeba stwierdzić, że literatura raczej nie dotrzymuje kroku życiu. Nie znaczy to, że stoi ona w miejscu lub też, że cofa się, nie wyprzedza jednak życia i nie rozwija się tak szybko jak ono...

Wielki poeta jugosłowiański, Niegosz w poemacie „Szezeban Mały“ mówi do Czarnogórców, podsumowując wyniki ich nadludzkich wysiłków, walk i osiągnięć: „Nigdy nie dowiedzie się tego oście dokonali, póki nie usłyszycie o tym od gęślarza poety“.

O czynach narodów Jugosławii powinna im opowiedzieć nasza literatura.

Radowan Zogowicz

Wiceprzewodniczący Jugosłowiańskiego Związku Literatów

PAWEŁ HERTZ

W STRONĘ TURGIENIEWA

ŻYWIONA dyskusja o prozie, jaka toczy się od miesiąca na łamach kilku pism literackich omalże nie wciągnęła mnie w swoje tryby. Obmyślałem już długi artykuł i wszystkie racje, które bym mógł w nim zawrzeć na obronę pisarskiej praktyki mojego pokolenia, gdy nagle znalazłem pewnego dnia w antykwarijach tom Turgieniewa w stereotypowym, rosyjskim wydaniu z roku osiemdziesiątego.

Były to „Notatki myśliwego“.

Niechże się więc nikt nie dziwi, że przestałem się interesować dyskusją o prozie, że nie porwałem za pióro nawet wtedy, gdy po przeczytaniu pewnego artykułu o szkodliwości wpływów zachodnich na literaturę polską okresu międzywojennego, zastanowiłem się chwilę i stwierdziłem, że w literaturze pięknej takiego wpływu prawie że nie było. Przeciwnie — mieliśmy przeważnie wcale nie europejską potoczność Jerzego Kossowskiego, wcale nie zachodni barok Kadena, wcale nie larbaudowska wiozęgo Goetla, daleką od Roger Martin du Garda Dąbrowską, najdalszych od proustowskiej drobniawości „małych realistów“, wypełniających drobne zamówienie społeczne mieszczańskich inteligencji, zniechęconej do warunków lat trzydziestych i na swój sposób radykalizującej.

Przywykło się mawiać wówczas, gdy pisarz w Polsce wykazywał wielką dbałość o rzemiosło, że takie pisarstwo jest „zachodnie“, „francuskie“. Bo naturalną koleją historycznych losów Francja była na Zachodzie jednym ośrodkiem kulturalnym o jaki można się było oprzeć. Anglia z jej zagadnieniem „cywilizacyjnej misji“ białego człowieka była dla nas daleka i obca; — Niemcy — bliscy geograficznie, ale wroży. Na wschodzie była Rosja. Choć przemieniona, wyzbyta swoich imperialistycznych i szowinistycznych treści, — pozostała w świadomości przeciętnego inteligenta dawną Rosją. Od roku 1918 znajomość klasycznej literatury rosyjskiej w Polsce była znikoma. Starsze pokolenie inteligentnie znało Tolstoja, Dostojewskiego, Czechowa, Turgieniewa — mógłbym tu wymienić jeszcze kilkanaście nazwisk, które sprawiają, że literatura rosyjska dziewiętnastego stulecia w niczym nie ustępuje francuskiej. Jednak jest od niej inna.

Wróćmy jednak narazie do sprawy „francuszczyzny“ u nas i zastanówmy się, ciągle pamiętając o literaturze rosyjskiej minionego stulecia, czy jest rzeczą słuszną i usprawiedliwioną, by stosować do literatury kryteria geograficzne. Wydaje mi się, że dziewiętnasty wiek rosyjski leży całkowicie na Zachodzie i kto wie, czy na mapie kulturalnej Petersburg i Moskwa tamtych czasów nie tkwią bardziej w Europie od martwych centrów europejskich, choćby od pięknych miast włoskich lub malowniczych stolic Belgii i Holandii, które utraciły swoje dawne znaczenie.

Sprawa „zachodniości“ powinna być postawiona jasno. Czy chodzi nam o „smaczki“, czy o rzemiosło? Bo jeśli chodzi o rzemiosło, to oczywiście każda nadążająca za swoim czasem literatura jest „zachodnia“. Żaden pisarz nie rezygnuje z umiejętności pisania, podobnie jak żaden technik nie rezygnuje z dobrego instrumentu, nie zastąpi go mniej zdatnym i przestarzałym. Rzemiosło wydaje mi się tym zasadniczym ele-

mentem dzieła literackiego, które decyduje o jego przydatności. Cóż mi z tego, że książka jest zbudowana według szlacheckiego schematu ideologicznego, że mowa w niej o hucie Zabrze, czy o reformie rolnej, jeśli nie zobaczą tej huty Zabrze ani nie zrozumieją istoty reformy rolnej? Jak pokazać hutę Zabrze, jak wykazać treść reformy rolnej? Oczywiście odpowiednim skonstruowaniem akcji, odpowiednim rozłożeniem akcentów, odpowiednim doбором sytuacji i bohaterów. Te wszystkie umiejętności plus sekret dobrego ich wykorzystania mieszczą się bez reszty w pojęciu „rzemiosła“. Ale — jak to już powiedziałem na początku — słowa „warsztat“, „laboratorium“, „rzemiosło“ zostają coraz to silniej spychane na zachód, zupełnie tak, jakgdyby były dotąd naszej literaturze obce i jakgdyby łącząc wielką umiejętność pisarską egzystencjalistów z ich błędnymi założeniami ideologicznymi można było otrzymać w końcu równanie z którego wynika, iż jak ognia winniśmy się wystrzegać umiejętności dobrego pisania na rzecz nowego brązownictwa — nowej mitologii, w której zamiast szlachetnej panny ze dworu występować będzie szlachetna robotnica, a zamiast poczciwego księdza — dzielny milicjant.

Umiejętność dobrego pisania pozwala nam natomiast przeskoczyć poprzez mitologię do realizmu. Realizmu — to znaczy takiego przedstawienia świata lub jego odcinka, jakie jest zgodne z naszą najbardziej zaawansowaną wiedzą o świecie. Myślę więc, że powieść lub opowiadanie nie musi być wcale związane matematycznie z najnowszą rzeczywistością, że nie musi być w nim mowy o ziemiach odzyskanych i fabryce, by mogło zasłużyć na miano realistycznego. Chyba się nie pomyli, gdy powiem, że nie istnieje żaden artystyczny zakaz mówienia o rzeczywistości najbliższej chronologicznie. Nie istnieje również żaden zakaz wprowadzenia elementu ideologicznego do literatury. Myślę, że nie było, od chwili, gdy powieść powstała, ani jednego dzieła, któreby w mniejszym lub większym stopniu nie korzystało z tej rzeczywistości, której nie wiązało się z jakąś ideologią. Nawet wtedy, gdy autor dowodził, że niczym nie jest związany.

Zaliczany przez pewnych krytyków do „mniejszych“ od Balzaca realistów Flaubert, który troszczył się tylko o to, by pięknie pisać, pozostawił wielką powieść polityczną, „Szkolę sere“ o bardzo wyraźnej, antymieszczańskiej ideologii. Powieście mi na to, że czas, by pisarz przestał być przeciwny, by zaczął czemuś sprzyjać. Zapewne. Literatura przeszła szkołę nieufności do życia, niezgody na tok spraw ludzkich. Literatura najbardziej „schöngestowska“ była rekompensata za okresy historyczne najbardziej ciemne i trudne. Literatura była ucieczką, azylem, protestem etc. Miała rozmaite funkcje — usypiała i budziła czujność człowieka, zwęzłała jego horyzonty lub rozszerzała je niepomierne. Wszystko to jednak działo się tylko wtedy, kiedy literatura była dobra. Kiedy była zła i niezdarna, kiedy operowała banałem i sztampą, wówczas nie działała wcale. Była martwa.

W tym sensie, w sensie poszukiwania dobrej tradycji należy zwracać się do literatury francuskiej. Istnieje jednakże pewna przeszkoda, która nie pozwoli nam

sięgnąć bezkrytycznie do francuskiej powieści. Jest to bowiem powieść o pojedynczym człowieku. Ta konstrukcja wynika rzecz prosta ze struktury społecznej. Francja XIX wieku jest Francją zwycięskiego mieszczaństwa, realizującego postulaty rewolucji politycznej, lecz nie społecznej. Stąd walka o uznanie praw formalnych jednostki, stąd zainteresowanie dla losów człowieka pojedynczego, lekceważenie zaś dla losów grupy społecznej. Korzystając z francuskiego warsztatu należy zawsze o tym pamiętać.

Czy istnieje literatura, która nie ustępuje rzemiosłem „zachodni“ i potrafi jednocześnie dać pełniejszy obraz rzeczywistości społecznej? Czy istnieje literatura, która nie naruszając zasad dobrej roboty potrafiła jednocześnie udowodnić nam, że nie istnieją żadne zakazy artystyczne wzbraniające mówienia o realnej rzeczywistości, która daje indywidualnym bohaterom tło bohatera zbiorowego — klasy społecznej? Która wreszcie nie poprzestaje na pokazywanie rzeczy i ludzi, ale spełniając postulaty dobrego rzemiosła pokazuje takie zestawienia, jakie bez banalnego schematu, bez brązownictwa i mitologii, pozwalają czytelnikowi na prawidłową ocenę tej rzeczywistości i pomagają mu w wyborze ideologii?

Myślę, że istnieje taka literatura. Jest nią literatura rosyjska dziewiętnastego stulecia. Tworzona przez inteligentów pochodzących często ze szlachty. Literatura ta była konsekwentna wobec dążeń najlepszych i najświetlejszych w narodzie. Nie będąc czytana przez lud, była przecieł najbardziej ludowa. Nie była chłopiska, ale mówiła o tym, co dla Rosji owego czasu było najważniejsze — o sprawie chłopskiej. Pisana przez inteligentów była surowa dla inteligentów, obnażała ich słabości, demaskowała ich zdrady. Pisana w Moskwie, w Petersburgu, Rzymie czy Paryżu, lub w starych domach oddalonych gubernii, wiązała się nieustannie ze sprawą wyzwolenia człowieka. Była więc postępową. Tworzyli ją ludzie wielkiego smaku, kultury i talentu. Była więc świetnym rzemiosłem. I oto najnieoczekiwaniej otrzymujemy nowy wynik równania. Postępową i świetną artystycznie. A więc „zachodnia“, a więc „europejska“! Jeśli nam bowiem imponuje coś na Zachodzie, to właśnie owa świetna tradycja łączenia postępu i techniki, ideologii i rzemiosła. Stendhal, Balzac, Flaubert, Zola. Tu z dwóch linii — postępu i rzemiosła — pierwsza niknie, a druga prowadzi dalej: Proust (tu jeszcze mamy wielki obraz świata, gdzie szczegółowy są namalowane dokładnie i misternie, zaś tło i akcja ledwie zarysowane), Gide (który z roku na rok, po „Lochach Watykanu“ coraz to bardziej zaciera rzeczywiste kontury świata), wreszcie egzystencjaliści: Sartre, Camus, którzy malują świat kunsztownie ale fałszywie.

Ta linia literatury francuskiej — od Balzaca do Sartre'a — jest bardzo znamienita i każde nam ostrożnie korzystać z francuskich doświadczeń. Ale ponieważ z doświadczeń korzystać musimy, spróbujmy sięgnąć do książek rosyjskich minionego stulecia. Turgieniew wydaje mi się szczególnie pociągający. Europejczyk w wielkim stylu, przyjaciel Goncourtów i uczestnik

słynnych literackich obiadów, w rozmowach z Francuzami nie cierpiał nigdy na kompleks zachodni. Pewnie dlatego, że jak świadczy o tym jego książki, znał rzemiosło niegorzej od Flauberta.

Jakże ogromnie pocieszająca jest lektura „Notatek myśliwego“, „Stepowego króla Lira“, „Zajazdu“! Zwłaszcza dziś, gdy literatura w Polsce musi kontynuować nie tylko linię rzemiosła, ale i linię postępu. Gdy krytyka nie tylko nie pomaga w tym pisarzowi, lecz przeciwnie — przeszkadza mu jak może, wołając natarczywie, że należy wyzbyć się warsztatu i odciąć od „Zachodu“, określonego wbrew rzeczywistości kulturalnej na linii Odry. Proszę pokazać mi dziś w Polsce pisarza, który zechce pisać gorzej niż potrafi i który zgodzi się na kulturalną izolację!

Turgieniew urodził się w 1818 roku w Orle. Młodość uniwersytecką spędził w Moskwie, potem w Petersburgu. Potem, od 1838 do 1841 roku podróżował po Europie: Niemcy, Szwajcaria, Włochy. W 1841 wrócił do kraju, wstąpił na służbę urzędniczą, a w rok potem został zwolniony. W końcu 1846 roku wyjechał znowu za granicę. W 1847 roku ukazało się w „Sowremienniku“ opowiadanie „Chor i Kalinyez“, stanowiące zaczątek całego cyklu opowiadań, które składają się na „Notatki myśliwego“. Zapiszmy tu jeszcze, że lato 1847 roku spędził Turgieniew na Śląsku, w Salzbrunnie (Solice?), towarzysząc przebywającemu tu na kuracji choremu Bielińskiemu. Między rokiem 1846 i 1851 powstają pozostałe opowiadania o doli chłopskiej, tworzące wymieniony już przeze mnie tom, który w druku ukazał się w roku 1852. Turgieniew podróżuje, wraca często do Rosji, by wreszcie w 1861 roku, po krótkim pobycie w Baden, osiedlić się na stałe w Paryżu. Pod datą 7 września 1883 roku czytamy w dzienniku Goncourtów: „Dziś nabożeństwo odprawiane nad trumną Turgieniewa kazało wyjść z domów paryskich całej gromadzie ludzi o wroście obrzmym, o twarzach znużonych i brodach podobnych do brody Ojca Przedwiecznego: cała Rosja w miniaturze...“

Było również mnóstwo Rosjanek, Niemek i Angielek, nabożnych i wiernych czytelniczek, które przybyły by złożyć hołd wielkiemu i subtelnemu powieściopisarzowi“.

Zapewne: dla Goncourtów był Turgieniew tylko wielkim i subtelnym powieściopisarzem, podobnie jak emigracja rosyjska była jedynie zbiorowiskiem malowniczych typów. W tej ocenie Turgieniewa, w której Goncourtowie podkreślają jedynie artystyczne walory jego dzieła, widać wyraźnie jak bardzo zanika już w owe lata pierwsza z dwóch linii literatury francuskiej — linia postępu czyli linia świadomości społecznej. W sobotę 5 maja tegoż roku w dzienniku Goncourtów: „Obiad z poetą Oskarem Wildem“. To co w Turgieniewie było fascynujące dla jego przyjaciół paryskich — to właśnie rzemiosło. Nawet dar dokładnego opisu w rozmowie. Ale ten dar był nierozdzielny od treści.

„Sobota, 2 marca (1872). Dziś na obiedzie u Flauberta — Teofil Gautier, Turgieniew i ja. (Turgieniew), opowiadał nam o miesięcznym pobycie w więzieniu, na które został skazany, ...Opisał nam, jak malarz

i jak powieściopisarz, naczelnika policji, który spojony pewnego dnia przez niego szampanem, powiedział mu, trącając go łokciem i wznosząc kieliszek: „Za zdrowie Robespiera!”. Później Turgieniew zamilkł na chwilę, zatopił się w rozmyślaniach i podjął znowu: „Gdybym chciał się tym chlubić, to kazałbym by na moim grobie wyryto, że napisałem moją książkę dla wyzwolenia niewolników. Tak, niczego innego bym nie pragnął... Cesarz Aleksander kazał mi powiedzieć, że lektura mojej książki była jednym z powodów jego decyzji...”.

Cóż to za książka, która skłoniła cara do przeprowadzenia reformy? Czy jakakolwiek książka może zmienić ustrój jakiegokolwiek kraju?

Turgieniew powiedział Goncourtom tylko część prawdy.

Aleksander zgodził się na reformę pod wpływem tej samej sytuacji, która Turgieniewowi podyktowała „Notatki myśliwego”. Turgieniew dał głos niemuś dotąd chłopu. Głos był groźny. Car posłuchał.

Chłop pierwszy przemawia w literaturze u Turgieniewa, w „Notatkach myśliwego”.

U Radyszczewa mamy opis pańszczyzny, u Turgieniewa mamy słowo pańszczyźnianego chłopu. Ale zatrzymajmy się na chwilę nad podwójną linią, tak dobrze widoczną w tych opowiadaniach. Nad linią rzemiosła i nad linią postępu.

„Notatki myśliwego” składają się z kilkunastu opowiadań z których każde rozpoczyna się świetnym opisem przyrody orłowskiej gubernii, gdzie poluje autor-myśliwy. Wszystkie te opowiadania pisane są w pierwszej osobie. Niedawno dopiero pewien młody obiecujący krytyk, zaparzony w mit przewyższania wpływów „zachodnich” w polskiej literaturze pisał, że pierwsza osoba świadczy o uleganiu filozoficznemu wpływowi empiriokrytyków, Macha, Avenariusza i innych diabłów! Tymczasem chwyt pierwszej osoby, stary jak świat, występuje wszędzie: w „Satyryconie”, u Tolstoja w zdecydowanie beletryzowanych i konstruowanych wspomnieniach, które nie są przecież pamiętnikiem, u Turgieniewa, etc. I nie na tym nie cierpi realizm!

Ten piękny opis przyrody i blahe zajęcia myśliwskie, które uporczywie stanowią uwerturę wszystkich tych opowiadań, zostaje nagle przerwane pojawieniem się ludzi — najczęściej pańszczyźnianych chłopów — lub też rozmyślnym nawiązaniem kontaktu z ludźmi przez opowiadającego, którego rzecz prosta mimo pierwszej osoby nie należy identyfikować z autorem. Zasadnicza różnica — i tu gotów jestem przy-



Turgieniew

znać młodemu krytykowi rację — pomiędzy pierwszą osobą Turgieniewa i pierwszą osobą naszych książek polega oczywiście na tym, że opowiadający, pierwsza osoba, nie jest bohaterem i jego zadanie polega wyłącznie na pośrednictwie między czytelnikiem i oglądanym przez siebie światem. Bohaterem tych opowiadań jest los pańszczyźnianego chłopu, struktura społeczna ówczesnej Rosji, wreszcie ciemna przyszłość chłopka, której nie uratuje i nie ocali żadna reforma carska.

Opowiadania Turgieniewa są pesymistyczne. Są nawet w swojej dokładności opisu ludzkiego losu, w swojej precyzji ukazywania całego mechanizmu, który uniemożliwia kilkudziesięciu milionom na ogromnych przestrzeniach imperium żyć i rozwijać się po ludzku i skazując ich na żalosną vegetację, prostru okrutne. Turgieniew nie pokazuje nam nawet chłopu zbuntowanego, nawet nie stara się uczynić ich niezadowolonymi. Przeciwnie — jego chłopci są bezradni, pogodzeni z losem, z góry przeświadczeni o swoim losie, o jego niezmienności. I to jest najstraszniejsze. Ale pesymizm tej książki stanowi o jej po-

stępowej ideologii. Chłopom pracującym za dniówkę nie dzieje się bynajmniej lepiej. Są formalnie wolni, faktycznie pozostają w szponach pańskich urzędników i ekonomów. Co z tego wynika? Reforma nie wystarcza. Turgieniew nie jest oczywiście marksistą i wcale nie o to chodzi, że naukowe opracowanie jego pesymizmu powstało nieco później. Ważne jest to, że Turgieniew nie tworzy mitologii, że nie wybiera sobie sprzeczny wypadek np. chłopskiego buntu, lecz konsekwentnie pokazuje chłopską rezygnację i ziemianką dekadencję.

Jest w „Notatkach myśliwego” jedno opowiadanie, które wylamuje się z ram tematyki chłopskiej i traktuje o sprawie tak gwałtownie atakowanej przez niektórych krytyków, a tak atrakcyjnej dla wielu pisarzy średniego pokolenia, dla którego sprawa lat międzywojennych, choć zamknięta, ma dość zasadnicze znaczenie z punktu widzenia sprawy lat powojennych. Myślę tu o „Hamlecie powiatu szczygrowskiego”. Treść tego opowiadania jest bardzo uboga, jak zresztą prawie wszystkich innych opowiadań. Narrator przybywa z wizytą do zamężnego ziemianina, na duże przyjęcie. Opis przyjęcia i typów ziemiankiej prowincji jest krótki, jakgdyby autor spieszył się, by rozwinąć przed nami obraz inteligenta owych czasów. Postać ta zostaje wprowadzona w sposób przypominający nowele romantyczne. Narrator pozostaje po przyjęciu na nocleg we dworze. Przydziałem mu pokój gościnny, w którym już ktoś śpi. Nieznajomy, bo Turgieniew nie objaśnia nam kim jest jego nocny rozmówca, wszczyna długą rozmowę z narratorem. Jest to właściwie ogromna spowiedź dziecięcia wieku w rosyjskim imperium. Gorycz, świadomość nieprzydatności wykształcenia, wiedzy, rezygnacja, rozbicie, mizantropia — komplet cech tamtoczesnego rosyjskiego inteligenta, owego antydatowanego bohatera egzystencjalistycznych powieści. Znowu więc linia ideologiczna zaznaczona wyraźnie, pesymizm znaczący tutaj tyle samo, co postępek, bo z opowiadania nocnego rozmowy wynika, że warunki, które go ukształtowały są straszne i nieudzielne. Autor nie peroruje o tym, że trzeba te warunki zmienić. Czytelnik sam to powie gdy długa, nocna spowiedź inteligenta zakończy się tym wspaniałym chwytem, pozorującym obojętność i świadczącym o dyskrecji i stanowiącym o tym, że Turgieniew jest pisarzem o wspaniałym rzemiosle:

„— Niech mi pan przynajmniej powie — zapytałem — z kim mam przyjemność... Szybko podniósł głowę.

— Nie, na miłość Boską — przerwał mi — niech mnie pan nie pyta, jak się nazywam: ani mnie, ani innych. Powinienem zostać dla pana istotą nieznaną, jakimś pierwszym lepszym Wasylim Wasyliewiczem. Zresztą, jako człowiek nieoryginalny, nie zasługuję na nazwisko... Ale jeśli już chce pan koniecznie nadać mi jakiegokolwiek miano, niechże mnie pan nazywa... niech mnie pan nazywa Hamletem powiatu szczygrowskiego. Takich Hamletów pełno w każdym powiecie, ale pan być może nie stykał się z innymi... Dobranoc.

Znowu zarył się w swoją pierzynę, a następnego dnia, gdy mnie rano zbudzono, już go nie było w pokoju. Odjechał przed świtem”.

Oto bezimienny nieznamy urasta do wielkości symbolu. Ale to symbol prosty, mieszczący się w ramach realnej rzeczywistości określonej epoki historycznej. Umiejętność takiego wyboru kwalifikuje rzemiosło pisarza, stanowi o tym rzemiosle, pozwala po kilkudziesięciu latach odczytywać tę książkę od nowa i oceniać za każdym razem tę wielką dyskrecję pisarza, który odmówił sobie wszelkiej perory i zbytecznej dydaktyki.

Miałem za zadanie dowiedzieć, że obie linie — linia ideologicznej słuszności i linia artystycznego rzemiosła — są równoległe w dziele Turgieniewa. Myślę, że dowód został przeprowadzony.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa, o której mówiłem na początku. Sprawa rzemiosła, wiązana tak chętnie przez niektórych krytyków z wysokim poziomem artystycznym literatury francuskiej, „zachodniej”. Oczywiście — francuska parasolka pani Arnoux w „Szkole serc” („Education sentimentale”) Flauberta, niemiecki srebrny ołówek pani Chauchat w „Czarodziejkiej górze” Tomasza Manna, tysiące przykładów pisarskiej dyskrecji i jednocześnie trafności u Prousta etc. — to wszystko są przykłady wielkiego rzemiosła, którego nie wolno nam lekceważyć. Jeśli ci, którzy wypalają dziury w całym naszej literatury, robią to poto, by krzyknąć: Zerwijcie z „zachodem”! — wówczas należy im odpowiedzieć, że doskonałość warsztatu nie jest bynajmniej przeszkodą w pisaniu książek dobrych i mówiących prawdę o świecie. Ale ci, którzy nam dają takie rady nie chcą wcale dobrych książek, ani mądrej literatury. Oni chcą po prostu literatury mitologicznej, dobierającej takie kolory, z których można co najwyżej wymalować afisz na dzień dzisiejszy. Spójrzcie w stronę Turgieniewa: jego obraz trwa po dzień dzisiejszy.

Fawel Hertz

MIECZYŚLAW WIONCZEK

GALERIA PORTRETÓW ROOSEVELTA

Waszyngton, w lipcu

W SRÓD POZOSTAŁEJ w Białym Domu po zgonie F. D. R. — jak w skrócie nazywa się w U. S. A. Franklina Delano Roosevelta — korespondencji znaleźć można obok listów, adresowanych do „największego prezydenta U. S. A.” listy z nagłówkiem „do największego łotra w dziejach”. Podobnie i wydane dotąd książki o jedynym czterokrotnym prezydencie U. S. A. oddają zakres uczuć i opinii, zamknięty między tymi dwoma nagłówkami listów F. D. R. wymieniany przez zwolenników jako piąty wielki prezydent po Waszyngtonie, Jeffersonie, Jacksonie i Lincolnie, pozostał bowiem dla opinii amerykańskiej jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci, mimo że „era rooseveltowska” jest już zamkniętym okresem historii Stanów.

W pierwszej półoficjalnej biografii Roosevelta, która wyszła niedawno spod pióra zawodowego historyka — biografą Aldena Hatcha, bibliografia wydanych dotąd książek w całości poświęconych jego osobie liczy czterdzieści osiem pozycji. Jest to bibliografia bardzo ogólna. Bibliografia szczegółowa powinna objąć tysiące najróżniejszych druków, które wydane w ciągu prezydentury Roosevelta, mając za przedmiot Amerykę lat trzydziestych i drugiej wojny światowej, związane są ściśle z postacią F. D. R. Przegląd niniejszy obejme jedynie pięć książek o Roosevelcie, wydanych w ciągu roku 1946. Są to książki, które, ponieważ czytane są przez szerokie masy, ułatwiają powstawanie szeregu różnych legend o F. D. R., gdyż tytuł jest bezmała Roosevelto-iliu jego biografów, bądź piszących wspomnienia przyjaciół czy wrogów.

Książki te to: Frances Perkins „Roosevelt jakim go znam” (The Roosevelt I knew”), Elliotta Roosevelta — „W jego oczach (As he saw it)”, Louisa Adamca — „Obiad w Białym Domu (Dinner at the White House)”, Charles Bearda — „Polityka zagraniczna U. S. A. w rozwoju (American foreign policy in the making 1932 - 1940)” i Georgea Morgensterna — „Pearl Harbor”. Czytelnik tych książek natyka na co najmniej trzy portrety Roosevelta. Jeden z nich to — portret amerykańskiego po-

litka i szlachetnego liberała — o przewadze życia praktycznego nad intelektualnym, entuzjasty sukcesu i genialnego gracza w małych i wielkich rozgrywkach politycznych. Drugi to portret radykała społecznego i politycznego, bezkompromisowego bojownika sprawy uciśnionych całego świata, wroga wszelkich imperializmów i międzynarodowego pogromcy Winstona Churchilla. Trzeci wreszcie to portret wielkiego demagoga o niezwykłych ambicjach władczych, który obiecał swemu narodowi bezpieczeństwo i dobrobyt, wciągnął go potem w „cudzą wojnę”. Wspólne wszystkim portretom jest jedno — format portretowej osobowości. Który z nich najbliższy jest autentycznemu Roosevelto-owi nie łatwo powiedzieć. Wiedza o F. D. R. i jego epoka jest bowiem wciąż ułamkowa i znaczna część jej pozostaje w nieopublikowanych archiwach publicznych i prywatnych. Dopóki też przynajmniej nie ukaza się pamiętniki trzech czołowych postaci „ery rooseveltowskiej” wiedza ta pozostanie ułamkowa. Postaci te to — Harry Hopkins, najbliższy przyjaciel i doradca F. D. R., Henry Morgenthau jr., rooseveltowski sekretarz skarbu U. S. A. i Cordell Hull, sekretarz stanu w latach 1933 - 1944, następca Stimsona i poprzecznik Stettiniusa. Pamiętniki ich są w przygotowaniu i specjalnie bogata kopalnia materiałów ma być niezwykła co do objętości archiwum Henry Morgenthaua, liczące około dwięćdziesięciu tomów stenogramów, dokumentów i zapisów z całego okresu prezydentury Roosevelta.

Miss Frances Perkins, której książka o Roosevelcie ustępuje w poczytności w U. S. A. tylko książce Elliotta Roosevelta, nie jest postacią na miarę Hopkinsa i Morgenthaua, ale trudno wyobrazić sobie bez niej „erę rooseveltowską”. Miss Perkins — jedyna kobietą ministrem w dziejach U. S. A. była sekretarzem pracy od wstąpienia F. D. R. do Białego Domu do maja 1945 r., kiedy po zgonie Prezydenta jego gabinet uległ rozkładowi z przerażającą szybkością. Znała ona F. D. R. znacznie wcześniej nim został prezydentem. Z całego też okresu trzydziestopięcioletniej znajomości zdaje sprawę w swej książce, stanowiącej połączenia relacji przyjaciela o przyjacielu z relacją działacza społecznego, który przez dwadzieścia lat był wykonawcą

socjalnego ustawodawstwa „New Dealu” o głównym jego konstruktorze i ideologu. Jest to najmniej pretensjonalna książka o Roosevelcie, pisana przez człowieka o indyferentnym co do prezydent pochodzeniu i idealach, o naturze równie optymistycznej i amerykańskiej jak ufająca w naprawę świata przy pomocy drobnych retuszów i perswazji, natura Roosevelta.

Po raz pierwszy ujrzała Miss Perkins F. D. R. w roku 1910. Była wówczas absolwentką Harvard University, uniwersytetu dla młodzieży z dobrych domów i ponosiła ją reformatorsko społeczne zapędy zamożnej dziewczyny o dobrym sercu. On był młodym przedstawicielem „leisure class”, wchodzącym szybko dzięki rodzinnym stosunkom w życie polityczne stanu New York. Dwudziesto ośmioletni młodzieniec nie różnił się wówczas jej zdaniem niczym poza większą energią od swego otoczenia. Był wzorem amerykańskiego patrycjusza wśród stanowych polityków, biorących udział w amerykańskim życiu politycznym w pełni świadomości wymaganych w nim cnót — brutalności i braku zasad.

Po raz ostatni widziała Miss Perkins prezydenta i przyjaciela w kwietniu 1945 po jego powrocie z Jalty. Był bardzo zmęczony i chory i ostatnie jego słowa do niej to: „Wojna w Europie skończy się za kilka tygodni”.

Najwięcej chyba o Roosevelcie — zwiastca dla cudzoziemców szukających poprzez wiedzę o F. D. R. wiedzy o Ameryce — mówi pierwsza rozdział książki, poświęcone jego pierwszej części życia zamkniętej chorobą. Choroba — powiada wielu — narodziła innego Roosevelta. Nie jest wcale tak pewna tego Miss Perkins. Jakkolwiek bowiem choroba wprowadziła poważne zmiany do umysłowości i filozofii życiowej F. D. R., zmiany te nie miały charakteru przełomu. W tym okresie narodził się wprawdzie jego liberalizm i humanizm, ale były one natury mistycznej - uczuciowej a nie intelektualnej. Dawne cechy amerykańskiego polityka nie zostały naruszone. Łatwo to zrozumieć, jako że w chwili wybuchu choroby, Roosevelt był nie tylko dojrzałym człowiekiem, ale miał z sobą niewiędzone naprawdę praktycznym

sukcesem wobec klęski demokratów w wyborach r. 1920 — optimum powodzenia politycznego w postaci nominacji konwencji partii demokratycznej na stanowisko prezydenta U. S. A. Dowiódł tym idealnego przystosowania do wymagań kapitalistycznego mechanizmu życia politycznego w U. S. A. Powtórne „narodziny” które usiłują dzisiaj udowodnić niektorzy jego mitologowie, były niemożliwe i nieprawdopodobne. Odrzucając przeszłość, odrzuciłby F. D. R. broń na przyszłość. Nie uczynił tego — zdaje sobie z tego sprawę Miss Perkins — i doświadczenia sprzed choroby będą źródłem jego dalszych sukcesów politycznych, dając mu genialną łatwość gry politycznej i zdolność godzenia ze sobą sprzecznych interesów poszczególnych grup ekonomicznych i politycznych. Równocześnie mistyczny rodzaj humanizmu z okresu choroby przysporzył mu miliony osobistych wielbicieli, uczył żeń symbol middle i lower middle class. Dopiero po jego zgonie, okazało się — szybciej niż liczyli na to jego wrogowie — jak wiele z jego osiągnięć było jego osiągnięciami personalnymi, które kończyły się wraz z nim. Rzuca się to w oczy dzisiaj, w niecałe dwa lata po jego zgonie, kiedy kraj znowu znalazł się na łasce jego reakcyjnych przeciwników, tak jakby liberalna „era rooseveltowska” nie trwała wcale trzynastu lat.

Ze F. D. R. w swych idealnych i w swej praktyce społeczno - politycznej nie wyszedł nigdy poza normy swej klasy, udowodnia to nieświadomie każda strona książki Miss Perkins. Z tej klasy wychodzili przy odrobinie zdolności osobistych bądź „kapitanowie przemysłu i finansjery” bądź, w wypadkach specjalnie rozwiniętej ambicji lub przeszkód finansowych — członkowie elity politycznej. Ten drugi rodzaj kariery tylko w wypadku nadzwyczajnych sukcesów — jak wypadku F. D. R. mógł się równać w opinii członków klasy z karierą i sukcesem w businessie. Przeżycia osobiste czyniły z owych kapitanów przemysłu czy senatorów — filantropów, mł. sjonarzy lub mistyków. Ale prawdziwi reformatorzy społeczni, ideologowie i rewolucjonści są w tej klasie zjawiskiem niesłychanie rzadkim. Dla ludzi bowiem o pochodzeniu F. D. R. system społeczny, w którym uczestniczyli, był i jest systemem doskonałym i nawet — co widać z rooseveltowskiej polityki

ekonomicznej w okresie „New Dealu” wielka depresja nie potrafiła zachwiać w nich wiary w ów system. Dzięki swej szczeroci i bezpretensjonalności książka Miss Perkins dostarcza nam to wielu dowodów, znanych analitykom i historykom „ery rooseveltońskiej” skądinąd. Dostarcza równocześnie dowodów przeciwko tezm, głoszonym zarówno przez część wielbicieli jak wrogów F. D. R. że był on reformatorem i radykałem społecznym i że byłby nim dalej dzisiaj.

Główny ekonomista John Maynard Keynes, odwiedziwszy Prezydenta w r. 1934, a więc w okresie największej gorączki „New Dealu” był — pisze uczciwie Miss Perkins — rozczarowany intelektualnie spotkaniem z Prezydentem. Oświadczył potem, że spodziewał się, że F. D. R. jest bardziej wykształcony ekonomicznie. Roosevelt zaś, wydając sąd o Keynesie, miał powiedzieć: „Zostawił po sobie olbrzymie kolumny cyfr, to jest chyba matematyk, a nie ekonomista”. F. D. R. nie był ani matematykiem, ani ekonomistą. F. D. R. myślał i działał w kategoriach „nawróconego na szlachetność” amerykańskiego polityka. Terminami, w których patrzył na świat po chorobie były terminy „fair” i „uczciwy”. Był, jak sam to gdzieś powiedział, „bratem ubogich” i „przyjacielem bogatych”, tak jakby można było pogodzić ze sobą te dwa „zawody”. Ze żył złudzeniami, dowodzi o tym zarówno ostry przebieg konfliktów społecznych i tendencje rozwojowe ekonomii amerykańskiej, niezależnie od jego posunięć, jak i wydarzenia polityczne w U. S. A. po jego zgonie.

„New Deal” nie był też — przynajmniej to Miss Perkins i jej recenzenci — planem przebudowy społecznej, jako że ani Roosevelt ani nikt z jego otoczenia nie zamierzał nigdy wprowadzać zmian w kapitalistycznej ekonomii U. S. A. „New Deal” był raczej zastrzykową kuracją dla zapadającego okresowo na zdrowiu pacjenta. Dzisiaj wiadomo, że „New Deal” nie uzdrowił zresztą ekonomii Ameryki, zbitej z nóg wielką depresją z roku 1929. Po wszystkich zabiegach „New Dealu” w szóstym roku pobytu Roosevelta w Białym Domu, Ameryka znowu przeżyła depresję ekonomiczną, z której wyszła naskutek przejęcia do gospodarki wojennej. Dyskusja nad tym, jak przebiegały owa depresja r. 1938, gdyby nie splot sytuacji międzynarodowej, który zmusił U. S. A. do zasadniczej zmiany typu gospodarki, pozostanie na zawsze dyskusją akademicką.

Miss Perkins tak jak F. D. R. nie jest ani ekonomistą ani matematykiem. W jej książce brak jest rozważań nad dobrymi i złymi stronami gospodarki kapitalistycznej czy, nad tym kiedy rozpoczął się rozkład „ery rooseveltońskiej”. Ale przez swą naiwną sprawozdawczość jest to cenna, najcenniejsza książka o prezydencie, gdyż — prawie zawsze nieświadomie — ujawnia genealogię społeczną „ery rooseveltońskiej” i filozofię społeczną jej przedstawicieli. Co prawda nie tłumaczy ona kołom wielbicieli F. D. R. dla których jest przeznaczona, gdzie leży przyczyna dzisiejszych kłesk rooseveltyzmu, polegających na opanowaniu całego aparatu państwowego U. S. A. przez ludzi będących jego przeciwnikami. Nie może wyjaśnić bezpośrednio, bo gdyby to czyniła, nie byłaby dziełem człowieka z kręgu F. D. R. Jedną z charakterystycznych cech tego kręgu (obojętnie czy myślimy o Miss Perkins, czy o Mrs. Roosevelt czy o Henry Wallace), była zawsze intelektualna naiwność i wiara w możliwość pogodzenia „braterstwa dla ubogich” z „przyjaźnią z bogatymi”.

„Roosevelt jakiego znam” Miss Perkins to jedna spośród wydanych ostatnio w U. S. A. książek o F. D. R., obejmująca całokształt jego życia publicznego. Inne zajmują się tylko albo poszczególnymi okresami jego życia, albo poszczególnymi stronami działalności.

Elliott Roosevelt, mający na koncie przewag nad innymi wiedzę wynikłą z stałego bezpośredniego kontaktu z ojcem — Prezydentem, jest najmłodszym spośród autorów wspomnianych o F. D. R. W czasie Wielkiej Depresji i początków „New Dealu” był młodym chłopcem i jego dotychczasowe wystąpienia nie wskazują na to, aby rzeczywiście znał dobrze i rozumiał ten okres dziejów U. S. A. Jako generał brygady z wojska (w niezawodowej armii amerykańskiej niestety został generałem brygady) i syn Prezydenta z cywila wziął udział w kilku wojennych konferencjach międzynarodowych w roli adiutanta F. D. R. Ponieważ była to rola czysto dekoracyjna, mógł obserwować całość konferencji w Quebec, Casablanca i Teheranie lepiej, niż ich aktywni uczestnicy. Obserwacje swe uzupełniał — twierdzi — prywatnymi rozmowami z ojcem poza godzinami oficjalnych obrad. Z nich też uczynił źródłem swojej książki.

Dużą część materiału zawartego w książce Elliotta jest ostatecznie niesprawdzalna. F. D. R. żadnych pamiętników nie pozostawił. Stalin — o ile wiadomo — nie pisze ich, a relacje Winstona Churchilla, który opracowuje obecnie swą wersję historii Drugiej Wojny Światowej, będą ostatnim chyba godnym zaufania źródłem informacji.

Portret Roosevelta w książce jego syna różni się znacznie od portretu Miss Perkins. Różni się nie tylko dlatego, że brzydziej interesuje F. D. R. w roli międzynarodowego polityka, gdy Miss Perkins interesowała się przede wszystkim Rooseveltem — szefem Administracji w Waszyngtonie. F. D. R. w oczach syna jest więc tytanem radykalizmu politycznego i społecznego w skali światowej i mężem stanu świadomym faktu, że w ciągu tej wojny trwa nieodwracalny proces rozkładu wszelkich imperializmów. Jego przeciwnikiem, symbolem okropów świętej trójcy jest — rzecz jasna stary Torys Churchill. Brygadiera Elliott śledzi przebieg walki między starym porząd-

kiem a nowym, który reprezentować ma F. D. R. Ale nie o same relacje o wydarzeniach historycznych chodzi autorowi. Książka powstała jako próba odpowiedzi na pytanie, prześladowane zarówno liberałów amerykańskich jak ich duchowych krewnych w całym świecie, dlaczego likwidacja rooseveltońskiego liberalizmu jako programu międzynarodowego jak i wewnętrznie amerykańskiego nastąpiła tak szybko i gwałtownie po zgonie Prezydenta. Odpowiedź Elliotta brzmi — F. D. R. miał za przeciwnika nie tylko Winstona Churchilla i torysów brytyjskich, ale olbrzymią część amerykańskiej dyplomacji i kół wojskowych. Podkopywały się one pod Prezydenta za jego życia i czekały na jego śmierć, aby go zdradzić ostatecznie i otworzyć.

Portret F. D. R. pióra Elliotta jest bardzo sugestywny. Rzeczywiście słowa, które autor włożył w usta Prezydenta pasują na tytan radykalizmu i wodza krucjaty nie tylko antynazistowskiej ale antyimperialistycznej. Atoli wydaje się, że brzydziej Elliott, tłumacząc ostateczną klęskę ojca zdradą czy spiskiem, obrał najłatwiejszy i najmniej szkodliwy sposób obrony „rooseveltyzmu”. I jakkolwiek zakładać można, że użyta przez Elliotta forma mitologizowania postaci Prezydenta jest potrzebna w tej chwili dla celów propagandowo politycznych w USA, nie można zgodzić się z autorem, że jego portret F. D. R. jest prawdziwy.

W świetle znanych faktów ten sposób kwestionować jedynie fragmenty książki, stwierdzających konflikt i żywe animozje między F. D. R. i Churchillem. Ale już tłumaczenie przy czym tych starć i nieprzyjemnych uczuciach krańcową rozbieżnością reprezentowanych przez obu systemów społeczno-politycznych wydaje się uproszczeniem. Znacznie bliższa prawdy wydaje się inna hipoteza przyczyn animozji między tymi dwoma ludźmi (jeśli pozostawić na stronie sprawę konfliktu interesów USA i W. Brytanii), sprowadzająca je do różnic psychologicznych między F. D. R. i Churchillem. Trudno to zdziwić się, że natura Roosevelta, połączenie cech charakterystycznych dla przedstawicieli „oświeconego kapitalizmu” z cechami humanizującego mistyka, nie pasowała do cynicznego awanturniczej natury starego Torysa.

Jest dość charakterystyczne, że eliottowski portret Roosevelta — radykała i burzyciela starego porządku, wywołał najgłośniejsze protesty ze strony autentycznego, newdealowskiego otoczenia Prezydenta. Recenzenci książek, zarówno zgrupowani wokół Mrs. Roosevelt i Morgenthaua, jak i zblizeni do Henry Wallacea podnieśli szereg zastrzeżeń i zgodnie twierdzą, że F. D. R. ani w swym programie wewnętrznopolitycznym ani międzynarodowym nie był tak radykalny, jak przedstawił go Elliott. Poza też cytowanymi przez autora prywatnymi opiniami F. D. R. o sytuacji międzynarodowej, wypowiedzianymi w cztery czy nie wiele jest w historii prezydentury Roosevelta dowodów na prawdziwość portretu synowskiego. Przeciw niemu przemawia zaś także rodowod społeczny Prezydenta, tak jaskrawo bijący z książki Miss Perkins. Podstawowa teza książki Elliotta, teza zdrady ideałów F. D. R. przez jego otoczenie, wydaje się również uproszczoną odpowiedzią na pytania, dlaczego po zgonie Roosevelta USA w ciągu kilkunastu miesięcy stało się najreakcyjniejszym krajem świata, jak uproszczonym był sam portret F. D. R. pióra syna. Otoczenie swe Roosevelta dobiegało sobie o sobie spórów kadr zwycięskiej partii demokratycznej jeśli chodzi o sprawy cywilne, z kadr armii zawodowej, jeśli chodzi o sprawy wojskowe. Otoczenie to było takie, jaki był i jest system polityczny, gospodarczy, społeczny U. S. A. Roosevelt nie był ani dyktatorem ani rewolucjonistą, był niewątpliwie w kraju nieograniczonej „free enterprise”, ale nie zmienia to faktu, że wpływ jego na życie polityczne i gospodarcze U. S. A. był ograniczony. Gdyby nawet sam F. D. R. miał co do tego jakiegoś złudzenia, gdyby był burzycielem i budowniczym, czego chce Elliott, to musiałby złudzenia te stracić na długo przed końcowymi fazami wojny. Jego klęska w starciu z

Sądem Najwyższym U. S. A. w sprawie newdealowskiego ustawodawstwa w r. 1938 wystarczyłaby, aby takie złudzenia rozwiać. Podczas wojny kiedy dalsza koncentracja władzy ekonomicznej rzucała się w oczy każdemu inteligentnemu obserwatorowi, kiedy równocześnie widać było, że U. S. A. wyjdzie z owej wojny jako jedyną kapitalistyczną i największą potęgą na świecie, Roosevelt musiał sobie zdawać sprawę z tego, że jego rola sprowadza się jedynie do balansowania sił o różnych kierunkach, a nie do tworzenia dzieł U. S. A. i świata. F. D. R. musiał mieć nie raz w czasie wojny wątpliwości, w jaki sposób można pogodzić stanowisko prezydenta największego państwa kapitalistycznego w świecie z rolą pogromcy imperializmów. Jeśli ich nie miał, jak sugeruje Elliott, to nie można z tego robić cnoty, tak jak nie można chwalić Prezydenta za to, że nie był ekonomistą.

Kiedy Elliott Roosevelt usiłuje przekonać czytelników, że śmierć Prezydenta jest przyczyną wszystkich dzisiejszych kłesk liberalizmu amerykańskiego, i że gdyby F. D. R. żył, sytuacja międzynarodowa wyglądałaby zupełnie inaczej, trudno nie zapisać tych jego hipotez na konto amerykańskiej „naivete intelektualnej”. Wojna i gospodarka wojenna, która wydobyla kapitalizm amerykański z nie-domań lat trzydziestych i przywróciła mu siłę, musiała dać w wyniku to procesy polityczne, jakie odbywają się obecnie w U. S. A. Ze znacznie też większym prawdopodobieństwem można stawiać hipotezę, że gdyby F. D. R. przeżył zakończenie wojny, przeżywałby obecnie podobne rozczarowania, jeśli je żywił, jakie były udziałem Woodrowa Wilsona, profesora Uniwersytetu w Princeton, w roku 1920.

Poświęcona Rooseveltovi książka Louisa Adamica p. t. „Obiad w Białym Domu”, mimo, że zbudowana jest z innego materiału niż książka Elliotta, zajmuje się podobnymi problemami.

Louis Adamic, entuzjasta cywilizacji amerykańskiej jako tworu bezimiennych mas emigranckich (vide artykuł Al. Hertza o Adamicu w „Kuźnicy” w jesieni ub. roku), napisał bezpośrednio przed Pearl Harbor książkę pt. „Droga w dwie strony (Two-Way Passage)”, która zdobyła w owym okresie sporo rozgłosu w U. S. A. Proponował w niej, aby U. S. A. po zakończeniu nierozpoczętej wówczas jeszcze przez ów kraj wojny, zajęła się demokratyzacją Europy i odbudową jej cywilizacji. Zadanie to wykonać mieli zamerykanizowani emigranci z Europy, którzy nie utracili jeszcze związków z krajami pochodzenia. Książka Adamica trafiła do Białego Domu i jej entuzjazm dla cywilizacji amerykańskiej przypadł do gustu Prezydentowi. Autor wraz z żoną zaproszony został na obiad prywatny w Białym Domu, w którym wziął udział także, bawiący wówczas po raz drugi w czasie wojny w U. S. A. Winston Churchill, darzony od dawna przez Adamica antypatią nie mniejszą od antypatii Elliotta Roosevelta do premiera brytyjskiego. Obiad odbył się w najtragiczniejszym okresie wojny, w końcu grudnia 1941 roku, kiedy wojska niemieckie stały na przedmieściach Moskwy i gdy zbliżała się chwila kapitulacji Singapuru i Manilli.

Autor książki „Obiad w Białym Domu” używa słów, jakie padły podczas obiadu z ust obojga Rooseveltołów, Churchilla i Adamiców jako punktu wyjściowego swych rozważań. Książka bowiem, pisana w ciągu następnych pięciu lat, jest analizą czynów Roosevelta i Churchilla w ciągu całej wojny i stara się znaleźć klucz do obecnej sytuacji świata. Sytuacja ta wydaje się Adamicowi tragiczna i paradoksalna jednocześnie, ponieważ wojna, przynosząc zbrojną klęskę faszynomowi, nie przyniosła zwycięstwa prawdziwej ludowej demokracji na całym świecie.

W dniach poprzedzających owe spotkanie w Białym Domu F. D. R. był dla Adamica jak zresztą dla wielu amerykańskich radykałów symbolem czegoś w rodzaju amerykańskiej październikowej rewolucji. Churchill z drugiej strony w oczach tych samych ludzi — to stary torys, imperialny patriota, przygotowa-

ny na uczynienie wszystkiego, czego potrzeba dla dobra Imperium Brytyjskiego. Gdyby książka o Roosevelcie pisana była przez Adamica wówczas, niewątpliwie otrzymalibyśmy obraz w białoczarnej barwach podobny do obrazu Elliotta. Ale portret Prezydenta powstał pod piórem Adamica powoli, przez długie lata. W świetle też wydarzeń międzynarodowych, zachodzących z udziałem i bez udziału F. D. R., jego pierwotnie mistycyzm-rewolucyjna sylwetka nabiera dla Adamica rysów żywego członka społeczności amerykańskiej o określonej przynależności klasowej. Równocześnie też autor coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę z ograniczonych możliwości najbardziej nawet postępowego męża stanu i polityka w systemie amerykańskim.

Na to jednak, aby stwierdzić, że F. D. R. był do pewnego stopnia „pełnym zadowolenia ze swego życiowego powodzenia typem amerykańskiego businessmana, tryskającego żywotnością i aktywnością”, potrzeba Adamicowi aż czteroletniego dystansu. Wówczas, kiedy odwiedzał Roosevelta, Prezydent był dla niego jeszcze przywódcą narodu „sans peur et sans reproche”. W spodziewanej walce z demonom zła — Churchillem Adamic pokładał całą nadzieję w Prezydencie. Adamic, który lepiej niż kto inny zdawał sobie sprawę, że tocząca się wojna jest wojną z faszysmem i imperializmem także na frontach wewnętrznych, bardzo niepokoił się o walki na tych właśnie odcinkach. Zwycięstwo ideologii Churchilla nie wydawało się już wówczas znacznie lepszą alternatywą od zwycięstwa osi Berlin - Rzym - Tokio.

W miarę rozwoju sytuacji międzynarodowej, a zwłaszcza w ostatnich stadiach wojny, entuzjazm Adamica dla Prezydenta maleje coraz szybciej. Ale jego portret zostaje ukończony dopiero w dniach, kiedy w Białym Domu osiada Harry S. Truman i kiedy jest po wojnie. W portrecie F. D. R. patrycjuszowski - businessmowski rysy występują wówczas na plan pierwszy. Przeglądając się owocem wojny, spotykając na każdym kroku w U. S. A. ludzi kroju Churchilla, Adamic stwierdza w ostatnich rozdziałach książki z gorzkością: „Prezydent nie potrafił, nie udało mu się użyć wojny dla celów demokratyczno - rewolucyjnych. Prezydent nie potrafił natężyć narodu amerykańskiego idealizmem, nie potrafił uczynić z wojny narzędzia realizacji owej radykalnej, ludowej demokracji (która wg pierwotnych planów Adamica miała budować po wojnie w Europie Amerykanie europejskiego pochodzenia)”.

Kiedy autor książki „Obiad w Białym Domu”, zastanawia się nad tym, dlaczego Roosevelt zawiódł i kiedy przyląga się politycznemu i społecznemu programowi Prezydenta, stwierdza ostatecznie, że stawił mu zbyt wielkie wymagania. Roosevelt nie był bowiem jego zdaniem ani rewolucjonistą ani radykałem. Był tylko optymistycznym amerykańskim patrycjuszem. Jego filozofia i program musiały ponieść klęskę w starciu z ideologią Churchilla. Nie dziwi też Adamica, że idee Churchilla zwyciężyły na terenie U. S. A. a nie Wielkiej Brytanii, gdyż baza ekonomiczna i społeczna „churchillizmu” była znacznie szersza w kraju Morganów i Rockefellerów niż w wyczerpanej dwoma wojnami Wielkiej Brytanii.

Sąd Adamica nad F. D. R. nie jest tedy łagodny. „Roosevelt — pisze na ostatnich stronach książki — nie rozwiązał żadnego podstawowego problemu, stojącego przed Ameryką, tylko trzymał jej w zawieszaniu. Poza niewprowadzoną w życie formułą Narodów Zjednoczonych pozostawił światu bombę atomową i inne gorsze rzekomo od niej rodzaje broni”. Nie jest to wiele dla Adamica jak na poświęcone po jednym z największych ludzi w historii U. S. A. Na innym zaś miejscu pisze: „Być może że (Prezydent) postępował należycie jako polityk, ale mylił się straszliwie jako przywódca Ameryki, jakiego wymagała chwila dziejowa. Roosevelt nie potrafił wziąć na siebie żadnego wielkiego ryzyka. Nie był on do tego zdolny. Był członkiem rodziny Roosevelta z Krum Elbow, Duchess County.” Był ściśle związany z upper class i był zainteresowany jedynie w zachowaniu tego porządku, do którego on i jego podobni byli przywiązani i do którego zdaniem F. D. R. przywiązana była reszta obywateli”. Na poparcie ostrego sądu za-wiedzonego i rozczarowanego wielbiciela Prezydenta stwierdzić należy, że największy gniew Roosevelta wzbudzały ludzie, nazywający go zdradzącej swej klasy.

Adamic zamyka swą książkę o ideologicznej i praktycznej niemocy Roosevelta mocnymi akcentami bieżąco - politycznymi. Ameryka — stwierdza z bólem entuzjasta amerykańskiej cywilizacji — dzięki swym przymierzom z reakcyjnymi elementami krajów zwyciężonych i zwyciężonych staje się przedmiotem lęku i nienawiści mas całego świata. Ameryka Trumana i Vanderberga nie idzie ani drogą demokracji ludowej ani drogą Jednego Świata. Jeśli Ameryka chce odzyskać swe przewodnictwo w świecie musi sięgnąć nie do ideałów Roosevelta, a do ideałów założycieli amerykańskiej republiki. Atoli odpowiedź autora na pytanie, dlaczego ideały rooseveltońskie jako podstawa masowego ruchu politycznego zawiodły, dlaczego zmierzch „ery rooseveltońskiej” nastąpił tak gwałtownie, nie jest pełną i wyczerpującą. Być może od dalszych analiz powstrzymał się Adamic dlatego, że gdyby szedł dalej po linii swego rozumowania, trafiłby do szeregów komunistycznej partii U. S. A., do której nigdy nie mógłby trafić Franklin Delano Roosevelt (Dok. nastąpi)

Mieczysław Wionczek

(* część stanu New York zamieszkała przez arystokratyczno - patrycjuszowską elitę ludności U. S. A.

ZBIGNIEW BIŃKOWSKI

NAD TOBĄ

Nad Tobą już się teraz niebo nie nachyla,
by spełniać Twe pragnienia, o umierająca!
Jakby cię nagie ziemia w drodze porzuciła
i sama wędrowała na około słońca.

Jakby czas się zatrzymał, przemieńna przestrzeń,
i tylko nieskończenie Twoja krew upływa.
Dusza Twoja, z ciała zdjeta, ślania się na wietrze
nieśmiertelna, a przecież tylko ledwie żywa.

Gdy już światła nie możesz skrzesać Tym spojrzeniem,
ani westchnienia dobyć, by ciemność zażegnać,
gdy iza pada na kamień, wznosi się płomieniem
Twe serce gorejące: gwiazda niepodległa.

Słowem go nie pokonam. Ani myślą zbrojną
nie wtargnę tam, gdzie Twoje serce się rozlega
Bo ono z taką siłą umiera za wolność,
że przed nim nie obroni mnie życie człowieka.

Ja już imienia Twego z nikim nie przełamie
Niech całą moc zachowa na tożnienie ostatnie.
Wtedy do piersi włożę z Twego bruku kamień,
niech uderzy jak piorun i w proch się rozpadnie!

DIDEROT

przełożył JAN KOTT

Rozmowa d'Alemberta z Diderotem



Diderot



D'Alembert

Rozmowa d'Alemberta z Diderotem obok „Snu d'Alemberta” i t. zw. „Zakończenia poprzedniej rozmowy” jest jednym z trzech głównych pism filozoficznych Diderota i jednym z najbardziej śmiałych materialistycznej filozofii w XVIII wieku.

Utwór ten powstał w r. 1769, wydrukowany został po raz pierwszy dopiero w r. 1830. Na prośbę panny de L'Espinasse, przyjaciółki d'Alemberta, która chętnie w cztery oczy słuchała najbardziej frywolnych anegdot i najzuchwalszych twierdzeń, ale jako kobieta rozsądna dbała o bezpieczeństwo filozofów, — Diderot zniszczył swój manuskrypt. Na szczęście zachowała się jedna z krążących współcześnie kopii.

Do Zofii Volland pisał Diderot o tej „Rozmowie”, że nie sposób być jednocześnie tak głębokim i tak szalonym. Rzeczywiście, czegoż w tym utworze nie znajdujemy? Krytyka sensualizmu, szkielec materializmu mechanicznego, prekursorswo Darwin! Obserwować w nim możemy na gorąco rodzenie się myśli, która z drobnych jeszcze zdobywczy nauk przyrodniczych buduje nowy pogląd na świat, wyprzedza doświadczenie, kontynuuje najsmielsze hipotezy. Jest coś głęboko wzruszającego i nawet porwijającego w tym jednym z najpiękniejszych dokumentów ludzkiej myśli, odważnej i twórczej.

J. K.

D'Alembert

PRZYNAJĘ, że Byt, który gdzieś istnieje, a nie odpowiada żadnemu punktowi przestrzeni. Byt, który jest nierozciągliwy, a zajmuje rozciągłość; który cały mieści się w każdej cząstce tej rozciągłości; który istotą swą różni się od materii a jest z nią złączony; który jest z nią wszędzie i wprawia ją w ruch, sam pozostając nieruchomy; który działa na materię i wraz z nią przechodzi wszelkie przemiany; Byt, którego nie mogę sobie wyobrazić; Byt, którego przyroda zawiera w sobie tyle sprzeczności, trudny jest do pojęcia. Ale nowe zagadki czekają tego, kto go odrzuci; skoro bowiem zastąpisz go przez czucie i zechcesz, aby ono było powszechną i istotną cechą materii, czuć będzie musiał kamień.

Diderot

I czemuż nie?

D'Alembert

Nie łatwo w to uwierzyć.

Diderot

Zwłaszcza temu, który go tłucze, łamie i ciosa, a nie słyszy, aby krzyczał.

D'Alembert

Chciałbym, abyś mi powiedział, jaką widzisz różnicę między człowiekiem i posągiem, między marmurem i ciałem.

Diderot

Nie wielką. Ciało robi się z marmuru, a marmur z ciała.

D'Alembert

Ale jedno nie jest drugim.

Diderot

Jak i to, co nazywasz siłą żywą nie jest siłą martwą.

D'Alembert

Przestaje cię rozumieć.

Diderot

Zaraz to wyjaśnię. Przesunięcie ciała z miejsca na miejsce nie jest ruchem, jest tylko jego skułkiem. Ruch istnieje zarówno w ciele, które się przesuwają jak i w ciele, które spoczywa.

D'Alembert

Oto nowy sposób patrzenia.

Diderot

Ale niemniej prawdziwy. Usuń przeszkodę, która stanęła na drodze nieruchomego ciała, a przesunie się na nowe miejsce. Niech wskutek nagłego rozrzedzenia rozproszy się powietrze, które otacza pień tego ogromnego dębu, a woda, która w nim się znajduje, rozchodząc się gwałtownie na wszystkie strony, rozerwie go na sto tysięcy odłamków. Powiem to i o twoim własnym ciele.

D'Alembert

Zgoda! Ale gdzie związek pomiędzy ruchem i czuciem? Czyżbyś przyjąć chciał, że istnieje czucie czynne i bierne, tak jak siła żywa i martwa? Siła żywa, która objawia się w zjawisku ruchu, siła martwa, która objawia się w ciśnieniu; czucie czynne, które obserwujemy w zwierzęciu, a może nawet i u rośliny, i czucie martwe, w które mogli-

byśmy uwierzyć, gdyby udało się nam zmienić je w stan czucia żywego.

Diderot

Cudownie! Sameś to powiedział.

D'Alembert

W ten sposób posąg ma czucie bierne, kiedy człowiek, zwierzę, a może nawet i roślina obdarzone są czuciem czynnym.

Diderot

Różni się tym niewątpliwie blok marmuru od tkanki ciała, ale przyznasz, że to nie jedyna różnica.

D'Alembert

Z pewnością. Przy największym nawet podobieństwie zewnętrznego kształtu człowieka i posągu, nie wspólnego nie ma w ich wewnętrznej budowie. Dłuto najrzeczniejszego kamieniarza nie wyrzeźbi nawet naskórka. Ale w prosty sposób możemy siłę martwą zmienić w siłę żywą, doświadczenie to powtarza się sto razy na dzień przed naszymi oczyma, nie widzę tymczasem jak z ciała, które nie czuje, uczynić można by ciało, które czuje.

Diderot

Bo nie chcesz wiedzieć. Jest to fenomen równie pospolity.

D'Alembert

Fenomen równie pospolity? A jakież, jeśli łaska?

Diderot

Powiem ci, skoro zgadzasz się, abym cię zawstydził. Dzieje się to za każdym razem, kiedy jesz.

D'Alembert

Za każdym razem, kiedy jem?

Diderot

Tak. Co się bowiem dzieje, kiedy jesz? Usuwasz przeszkody, które broniły pokarmowi, aby czuł. Przyśwajasz go sobie, zamieniając w ciało, nadając mu naturę zwierzęcą i o to czuje. A to co zrobiłeś z pokarmem, mogę zawsze zrobić z marmurem.

D'Alembert

Jakież to?

Diderot

Jak? Uczynię go jadalnym.

D'Alembert

Uczynić marmur jadalnym, nie wydaje mi się to łatwe.

Diderot

Moja w tym głowa, aby pokazać ci jak to się robi. Biorę posąg, który tu stoi, kładę go do skrzyni, i silnym uderzeniem młota...

D'Alembert

Zatrzymaj się; błagam! to arcydzieło Falconeta. Gdybyś jeszcze była to rzeźba Huera, albo kogokolwiek innego...

Diderot

Nie kłopotz się o Falconeta: posąg jest zapłacony, a Falconet nie wiele sobie robi z uznania współczesnych, a już nic z potomnych.

D'Alembert

W takim razie, uderzaj.

Diderot

Kiedy wreszcie blok marmuru zamieniłem w drobny proszek, mieszam ten proszek z próchnicą albo czarnoziemem, ugniatam razem i polewam wodą; potem zostawiam, niech gnije rok, dwa, lub sto lat, czas dla

mnie nie ma znaczenia. Kiedy wreszcie wszystko zamieniło się w materię niemal jednorodną, w próchnicę, czy wiesz, co robisz?

D'Alembert

Jestem pewien, że nie będziesz żywił się glebą?

Diderot

Nie, ale istnieje sposób połączenia, przyswojenia próchnicy przez ciało, latus, jakby powiedział chemik.

D'Alembert

A latus, to roślina?

Diderot

Tak! Sadzę na tej ziemi groch, bób, kapustę i inne jarzyny. Rośliny żywią się ziemią, a ja żywię się roślinami.

D'Alembert

Prawda, czy fałsz, bardzo mi się podoba ta przemiana marmuru w glebę, gleby w królestwo roślinne, królestwa roślinnego w królestwo zwierzęce, w ciało.

Diderot

Uczyniłem więc z ciała, albo jak mówi moja córka, z duszy, materię, która czuje; i jeżeli nie rozwiązałem zagadnienia, które postawiłeś, to przynajmniej bardzo się do niego zbliżyłem; ponieważ przyznasz, że jest dużo dalej od kawałka marmuru od istoty, która czuje, niż od istoty, która czuje, do istoty, która myśli.

D'Alembert

Przystaję. Ale z tym wszystkim istota czująca nie jest jeszcze istota, która myśli.

Diderot

Zanim zrobię krok naprzód, pozwól, abym ci opowiedział historię życia jednego z największych geometrów Europy. Czym była najprzód ta cudowna istota? niczym.

D'Alembert

Jakto, niczym? Z niczego nic nie powstaje.

Diderot

Bierzesz moją myśl zbyt dosłownie. Chcę tylko powiedzieć, że nim jego matka, piękna i zbrodnica kasztelanka Tencin *) dosięgła wieku dojrzałości, nim żołnierz La Touche stał się młodzieńcem, molekuly, które miały utworzyć zawiązek naszego geometry, rozsiadane były w młodych i wątych machinach tych dwojga, filtrowały się w limfie, krążyły we krwi, nim w końcu udały się do zbiorników, przeznaczonych na ich spotkanie, jader ojca i matki. Oto powstał ten rzadki zarodek; trąbki Falloa, prowadzą go do macicy, gdzie wisi na długiej pepowinie. Płód ten rozwija się i rośnie, aż przyjdzie chwila, kiedy opuści to ciemne więzienie. Oto urodził się i leży na stopniach kościoła św. Jana w Oleju, od którego dostał swe imię. Zabierają go z domu podrzutków i przystawiają do pierśi dobrej pani Rousseau, żony szklarza. Wykarmiony na mleku, staje się wielki duchem i ciałem, jest pisarzem, mechanikiem, geometrą. Jak to się stało? Przez jedzenie i inne operacje czysto mechaniczne. Oto w czterech słowach ich powszechna formuła: Jedzcie, trawcie, destylujcie in vasi icello, et fiat homo secundum artem. Czyż uczony, który wykląda w Akademii historię rozwoju człowieka i zwierzęcia, nie powołuje się jedynie na działania sił materialnych, których kolejnym wynikiem jest istota bezduszna, istota czująca, istota myśląca, istota rozwiązująca

*) Diderot mówi tutaj o samym d'Alembercie (przyp. tł.).

zrównanie dnia z nocą, istota wspaniała, istota cudowna, istota starzejąca się, która niknie, umiera, rozkłada się i staje się prochem.

D'Alembert

A więc nie wierzysz w pre-ekzystencję zarodków?

Diderot

Nie wierzę.

D'Alembert

Ach! Jakież się z tego cieszę.

Diderot

Jest to sprzeczne z doświadczeniem i rozumem; sprzeczne z doświadczeniem, które napróżno szukać będzie tych zarodków w jajku, lub u większości zwierząt nim osiągną pewnego wieku; sprzeczne z rozumem, który uczy nas, że podzielność materii ma swój kres w naturze, chociaż nie ma kresu w myśleniu; rozum wzbrania się przyjąć, że ukształtowany w zupełności słoń może istnieć w atomie, a w tym słońcu drugi ukształtowany słoń i tak w nieskończoność.

D'Alembert

Ale jakież bez owej pre-ekzystencji zarodków wyobrazić sobie pierwsze pokolenie zwierząt?

Diderot

Niepokój cię, co było naprzed kurczę, czy jajo, ponieważ wierzysz, że zwierzęta były zawsze takie jak obecnie. Co za szaleństwo! Tak samo nie wiemy, czym były, jak nie wiemy, czym się stana. Niedostępalny robaczek, który porusza się w błocie, zmierza może do tego, aby stać się wielkim zwierzęciem; ogromne zwierzę, które przeraża nas swoją wielkością, zmierza może w swoim rozwoju do stanu małego robaczka, jest tylko może chwilowym i szczególnym przejawem życia na tej planecie.

D'Alembert

Coś powiedział?

Diderot

Mówiłem... Ale odbiegamy od naszej dyskusji.

D'Alembert

Co nam to szkodzi? Wróćmy do niej, albo i nie wróćmy.

Diderot

Czy pozwolisz, abym o parę tysięcy lat wyprzedził nasz czas?

D'Alembert

Czemuż nie? Czas jest niczym dla natury.

Diderot

Zgadzasz się, abym zgasił słońce?

D'Alembert

Tym chętniej, że to nie pierwsze słońce, które zgaśnie.

Diderot

Zgasio słońce, co się teraz stanie? Zginą rośliny, zginą zwierzęta i ziemia stanie się puszą i niema. Zaświeć na nowo te gwiazdy, oto w jednej chwili umożliwiłeś powstanie nieskończonej ilości nowych gatunków. I nie odważyłbym się twierdzić, że po upływie wieków powrócą się pomiędzy nimi; nasze obecne rośliny i nasze zwierzęta.

D'Alembert

I czemuż by te same elementy rozproszone, łącząc się na nowo, nie miały dać tych samych wyników?

Diderot

Ponieważ w naturze wszystko łączy się ze sobą, i ten kto zakłada istnienie nowego ieno-

*) Z wyboru pism Diderota w przekładzie Jana Kotta, który ukazuje się nakł. Sp. Wyd. „Czytelnik”.

menu lub każe wrócić chwili, która minęła, stwarza świat na nowo.

D'Alembert

Nie zaprzeczaj mi żaden głęboki filozof, Ale wracając do człowieka, skoro porządek powszechny chciał aby był, przypomnij sobie, że zostawisz mnie przy przemianie istoty, która czuje, w istotę, która myśli.

Diderot

Pamiętam o tym.

D'Alembert

Byłbym ci szczerze wdzięczny, gdybyś powiedział, co o tym myślał.

Diderot

A jeżeli myśli moich nie uda mi się doprowadzić do końca? Co poczujesz z faktami, których się nie da obalić?

D'Alembert

Nie. Tyle tylko, że nie ruszymy z miejsca.

Diderot

Czy, aby pójść dalej, wolno pomyśleć przyczynę, która byłaby sprzeczna ze swoim cechami, słowo pozbawione sensu, niezrozumiałe?

D'Alembert

Nie.

Diderot

Powiedz mi, jeśli możesz, czym jest istota dla istoty, która czuje?

D'Alembert

Jest to świadomość, że jest sobą od pierwszego momentu czucia do chwili obecnej.

Diderot

Na czym jest ona oparta?

D'Alembert

Na pamięci przeżyć.

Diderot

A bez pamięci?

D'Alembert

Bez pamięci nie byłoby tej istoty, ponieważ odczuwając istnienie, jedynie w momencie doznań, nie miałaby historii życia. Życie jej byłoby następstwem kolejnych wrażeń, których nie ma.

Diderot

Doskonale! A czym jest pamięć? Skąd się bierze?

D'Alembert

Z mechanizmu, który rozwija się, gaśnie, a bywa, że i zupełnie zanika.

Diderot

Skoro więc istota, która czuje i posiada ów mechanizm pamięci, łączy ze sobą wrażenia, których doznaje, układa z tych związków historię swego życia i ma świadomość siebie, wtedy twierdzi, przeczy, wyciąga wnioski, myśli.

D'Alembert

Tak bym sądził, ale widzę jeszcze jedną trudność.

Diderot

Myślisz się; jest ich znacznie więcej.

D'Alembert

Oto najważniejsza; wydaje mi się, iż możemy myśleć tylko o jednej rzeczy na raz, i aby ułożyć, nie mówię już, owe ogromne łańcuchy rozumowań, które łączą tysiące pojęć, ale najprostszy wniosek, uprzytomnić sobie musimy co najmniej dwie rzeczy. Przedmiot spoczywa jakgdyby pod okiem myśli, podczas kiedy rozum wyrokuję o jego własnościach.

Diderot

I ja tak myślę i porównuję nieraz włókna naszych organów z wibrującymi i czuymi strunami. Kiedy trzęsą wibrującą strunę, jeszcze długo, potem drży i rozbrzmiewa. Wibracje, ten rodzaj koniecznego rezonansu, zatrzymuje w umyśle przedmiot, podczas kiedy rozum zajmuje się przypisaniem mu odpowiedniej cechy. Ale wibrujące struny mają jeszcze inną właściwość, oto budzą drżenie strun innych; i tak pierwsza myśl przywołuje drugą, obie trzecią, wszystkie trzy czwarta, że nie postawisz granicy dla obudzonych i skojarzonych pojęć w głowie filozofa, który rozmyśla w samotności i ciszy. Instrument ten czyni zadziwiająco skoki, myśl raz obudzona znajduje czasami harmonijne dopełnienie w nieoczekiwanych interwałach. Jeżeli fenomen ten obserwować możemy pośród strun bezwładnych i oddalonych od siebie, jakżeby nie miał mieć miejsca pomiędzy punktami żywymi i powiązanych przez włókna czułe i ciągie.

D'Alembert

Gdyby nawet nie było to prawdą, piękna jest prostota twojej myśli. Ale korci mnie, aby zwrócić ci uwagę, że wpadłeś z powrotem w trudności, których chciałeś uniknąć.

Diderot

Jakto?

D'Alembert

Broniłeś się przed rozróżnieniem dwóch substancji.

Diderot

Nigdy się z tym nie kryłem.

D'Alembert

Przypatrz się temu, co powiedział, a zobaczysz sam, że oddzielił rozum filozofa od instrumentu i uczynił z niego muzykanta, który nachyla ucha nad wibrującą struną i orzeka o dysonansach i akordach.

Diderot

Być może, że założyłem na ten zarzut, ale nie mówilibyś tak, gdybyś zdał sobie sprawę z różnicy pomiędzy instrumentem filozofem i instrumentem klawikordem. Filozof, instrument obdarzony czuciem, jest jednocześnie

muzykiem i instrumentem. Czuje, a więc ma świadomość tonu, który wydaje; jest zwierzęciem, a więc może go zapamiętać. Właściwości jego organizmu pozwalają mu łączyć dźwięki ze sobą, układać melodie i je powtarzać. Wyobraź sobie klawikord, obdarzony czuciem i pamięcią i powiedz, czy sam nie wygra melodii, jakie zagrales na jego klawiszach. Jesteśmy instrumentami, mającymi czucie i pamięć. Zmysły nasze podobne są do klawiszy, w które uderza otaczająca nas przyroda i które nieraz odzywają się same. Oto wszystko co według mnie dzieje się w klawikordzie, który by miał twoją albo moją budowę. Z wrażenia, które ma swoją przyczynę na zewnątrz lub wewnątrz instrumentu, rodzi się czucie, które trwa, ponieważ nie można sobie wyobrazić, aby powstało i gasło w jednej i tej samej chwili. Przychodzi nowe wrażenie, które również ma swoją przyczynę poza zwierzęciem albo w nim samym, nowe czucie i głos, które je oznacza dźwiękiem naturalnym lub umownym.

D'Alembert

Rozumiem. A więc, gdyby ten czujący i ożywiony klawikord obdarzyć jeszcze zdolnością karmienia się i rozmnażania, żyłby i podzielił sam albo ze swoją samica, małe klawikordziki, żywe i hałaśliwe.

Diderot

Niewątpliwie. Czemże innym jest według ciebie słowik, zięba, muzyk, człowiek? Jakaż inna znajdziesz różnicę pomiędzy pozytywką a kanarkiem? Spójrz na to jajo, za pomocą niego obaliliście wszystkie szkoły teologii i wszystkie świątynie na ziemi. Czym jest jajo? Nieczulą masą, zanim zostanie wprowadzony do niej zarodek. A nawet potem, kiedy już tkwi w nim zarodek, czym jest jeszcze? Nieczulą masą, ponieważ sam zarodek jest dalej cieczą bezduszną i pospolitą. W jak sposób masa ta zmienia swoją budowę stanie się ciałem i żywą? Przez ciepło. Co wywołuje ciepło? Ruch. Jakże są kolejne skutki ruchu? Nic nie mów, ale siadaj przy mnie i obserwujmy z bliska rozwój jaja. Z początku mamy punktik, który drży, nitkę, która się rozwija i nabiera koloru. Formuje się ciało, powstaje dziób, zaczyna skrzydła, oczy, łapy, żółta materia skupia się i wytwarza wnętrzności. Już jest zwierzę. Kręci się, porusza, krzyczy. Słyszysz jego krzyk poprzez skorupę. Pokrywa się puzkiem, widzi. Pod ciężarem głowy, która kołysz się na wałeczku, dziób raz po raz uderza o wewnętrzną ściankę więzienia. Wreszcie pękła; wykluło się, biegnie, fruwa, złości się, ucieka, zbliża, skarży się, cierpi, kocha, pożąda, odczuwa rozkosz, robi wszystko co ty, doznaje tych samych uczuć. Czyżbyś twierdził razem z Kartezjuszem, że to jest tylko automat? Ależ wysmieja cię małe dzieci, a filozofowie ci odepowiedzą, że jeżeli to jest automat, ty jesteś także automatem. Jeżeli natomiast przyznasz, że pomiędzy zwierzęciem a tobą zachodzą jedynie różnice budowy, będziesz myślał uczciwie i postaniesz w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, ale wtedy przeciwko tobie wytoczę argument, że z materią bezwładnej, w pewien sposób zorganizowanej, przepojonej inną bezwładną materią, z ciepła i z ruchu otrzymujemy czucie, życie, pamięć, świadomość, namietność, myśl. Jedno ci tylko z dwojga zostaje: albo wyobrazić sobie, że w bezwładnej materii jaja ukryty był jakiś element, który objawił się, kiedy rozwinęło się jajo, albo też założyć, że ten niedostrzalny element wślizgnął się do jaja przez skorupę w pewnym momencie jego rozwoju. Ale co to za element? Czy zajmuje przestrzeń, czy też jej nie zajmuje? Skąd się wziął, gdzie się ukrywał, skoro nie może się poruszać? Gdzie był? Co robił tu albo tam? Czy został stworzony w chwili potrzeby? Czy zawsze istniał? Czy czekał na mieszkanie? Gdyby był jednorodny, byłby materialny. Gdyby był różnorodny, jakżeś wyłomaczysz jego bezwładność nim rozwinie się jajo, jego energię w dojrzałym zwierzęciu? Zastanów się, a poczujesz litosc nad samym sobą, zrozumiesz, że odrzucając najprostsze założenie, które wyjaśnia wszystko, czucie, które jest powszechną własnością materii i produktem jej organizacji, wyzybiłeś się zdrowego rozsądku i zapuściłeś w gąszcz tajemnic, sprzeczności i absurdów.

D'Alembert

Założenie! Łatwo ci tak mówić. A jeżeli czucia nie da się pogodzić z materią?

Diderot

I skądże ty, który nie znasz istoty żadnej rzeczy, ani materii, ani czucia, wiesz, że czucie jest istotnie nie do pogodzenia z materią? Czyżbyś więcej wiedział o przyrodzie ruchu, o jego istnieniu w ciele i przechodzeniu z jednego ciała w drugie?

D'Alembert

Nie znając nawet przyrody czucia ani materii, widzę, że czucie jest cechą prostą, jedyną, niepodzielną i nie tnącą się pogodzić z przedmiotem albo ciałem podzielnym.

Diderot

Galimatias metafizyczny - teologiczny! Jakto? Czyżbyś nie widział, że wszystkie cechy, wszystkie formy zmysłowe, które przybiera natura są ze swej istoty niepodzielne? Nie ma ani mniej, ani więcej nieprzenikliwości. Istnieje połowa okrągłego ciała, ale nie ma połowy okrągłości. Ciało może być mniej albo bardziej w ruchu, ale nie ma mniej ani więcej ruchu. Nie ma ani połowy, ani części trzeciej, ani kwarty głowy, ucha, palca, tak samo jak nie ma ani połowy, ani części trzeciej, ani kwarty myśli. Jeżeli we wszechświecie nie ma jednej molekuli, która by przypominała drugą, w molekule punktu, który był by podobny do drugiego, przynajmniej, że nawet atom obdarzony jest jakością i niepodzielną formą, przynajmniej, że podział

nie da się pogodzić z istotą form, ponieważ le niszczy. Bądź fizykiem i uznań działanie skutku, skoro go widzisz, choć byś nie umiał wyłomaczyć związku między przyczyną a skutkiem. Bądź logikiem, nie zastępuj przyczyny, która istnieje i tłumaczy wszystko, przez inną przyczynę, której nie można pojąć, której związek ze skutkiem pojąć jeszcze trudniej, która rodzi nieskończoną ilość trudności i nie rozwiązuje żadnej.

D'Alembert

A jeżeli zgodzę się z tobą?

Diderot

Jest tylko jedna substancja we wszechświecie, w człowieku, w zwierzęciu. Pozytywka jest z drzewa, człowiek ma ciało. Kanarek ma ciało. Muzykant ma ciało, choć o innej budowie, ale ciała te mają te same pochodzenie, te same zadania, ten sam koniec.

D'Alembert

A skąd się bierze zgodność tonu pomiędzy twoimi dwoma klawikordami?

Diderot

Każde zwierzę jest instrumentem doskonałym podobnym do drugiego, ma tę samą budowę, te same grają w nim struny i tak samo odpowiadają na cierpienie, głód, pragnienie, bolesci, podziw, przerażenie. Ten sam instrument nie może wydawać innych tonów na bieżąco i pod równikiem. Sład we wszystkich językach, żywych i martwych, okrzyki są prawie zawsze te same. Z potrzeby i pokrewieństwa należy wywodzić pochodzenie dźwięków artykułowanych. Instrument, obdarzony czuciem, czyli zwierzę przekonano się, że wydaniu głosu towarzyszą określone skutki, że inne czujące instrumenty, czyli podobne mu zwierzęta, zbliżają się, uciekają, laszą się, grożą, ranią i pieczą; skutki te połączyły się w jego i w ich pamięci z wydobyciem głosu. Zauważ, że w stosunku miłośnym są tylko nieartykułowane dźwięki i czyny. I wreszcie, aby memu systemowi przydać całą powagę, zauważ, że natrafia on na tę samą niezwykłą trudność, która Berkeley wysunął przeciwko istnieniu ciała. Oto chwila szaleństwa, kiedy czujący klawikord wyobraża sobie, że jest jedynym klawikordem na świecie, i że w nim odbywa się cała harmonia wszechświata.

D'Alembert

Długo można by o tym mówić.

Diderot

To prawda.

D'Alembert

Nie widzę jeszcze dobrze, jakim sposobem według twego systemu możemy układać sylogizmy i wyprowadzać wnioski.

Diderot

Ależ my ich wcale nie wyprowadzamy, one wszystkie wyprowadzane są przez naturę. My ogłaszamy jedynie, że fenomena te są ze sobą związane i że związek ich jest konieczny lub przypadkowy. Uczy nas tego doświadczenie. Związki konieczne są w matematyce, fizyce i w innych naukach ścisłych; przypadkowe: w moralności, w polityce i w innych naukach operujących przypuszczeniami.

D'Alembert

I czemu to związek fenomenów jest w jednym wypadku mniej konieczny niż w drugim?

Diderot

Tak nie jest, ale przyczyna ulega zbyt wielu przemianom, które uchodzą naszej uwadze, że nie możemy bez błędów przewidzieć jej skutku. Nie mamy też samej pewności, że obelga rozdrażni gwałtownika, co że ciało, które uderza w mniejsze od siebie, wprawi je w ruch.

D'Alembert

A analogia?

Diderot

Analogia w przypadkach bardziej złożonych jest tylko regułą trzech, którą wykonują myślący instrument. Jeżeli po jakimś naturalnym fenomenie następuje drugi naturalny fenomen, jakież będzie czwarty fenomen, który nastąpi po trzecim, znanym nam z doświadczenia, albo też wyobrażonym na podobieństwo natury? Jeżeli włócznie zwykłego wojownika ma dziesięć stóp długości, jaka będzie włócznia Ajaksa? Jeżeli ja mogę rzucić czterofuntowym kamieniem, Diomedes powinien poruszyć łańcuch górski. Kroki bogów i skoki ich koni odpowiadają stosunkom, jakie wyobraziłyśmy sobie, że łączą bogów i ludzi. Oto czwarta struna, proporcjonalna do trzech innych, której wewnętrzne drżenie odzywa się zawsze w zwierzęciu, choć nie zawsze w naturze. Nie ma to znaczenia dla poety, nie stanie się przez to mniej prawdziwy. Co innego filozof, zażądać on musi odpowiedzi od natury, i widząc inny fenomen, niż ten którego oczekiwał, spostrzeże, że uwiodła go analogia.

D'Alembert

Zegnaj mi przyjacielu, śpij dobrze, dobranoc.

Diderot

Zartujesz. Wróćsz do naszej rozmowy, kiedy głowę złożysz na poduszce. Jeżeli cię nie przekonałem, tym gorzej dla ciebie. Będziesz musiał przyjąć hipotezy, które są zupełnie komiczne.

D'Alembert

Myślisz się. Jestem sceptykiem kiedy kładę się do łóżka, i będę sceptykiem, gdy się obudzę.

Diderot

Sceptykiem? Czy jest się sceptykiem?

D'Alembert

Co znowu wymyśliłeś? Nie będziesz mi chyba dowodził, że nie jestem sceptykiem. Kto może o tym wiedzieć lepiej ode mnie?

Diderot

Zaczekaj chwilę.

D'Alembert

Spiesz się, bo jestem bardzo śpiący.

Diderot

Tylko parę słów. Czy sądzisz, że istnieje choćby jedno sporne zagadnienie, w którym równie silne argumenty przemawiają za i przeciw?

D'Alembert

Nie, tak by sądził tylko osioł Buridana.

Diderot

A więc widzisz, że nie ma sceptyków, skoro poza twierdzeniami matematycznymi, które nie budzą najmniejszych wątpliwości, we wszystkich innych istnieją zawsze argumenty za i przeciw. Ale waga ich nie jest równa i szala przechyla się zawsze na stronę, która wydaje nam się bardziej prawdopodobna.

D'Alembert

Ale raniem widzę prawdopodobieństwo po mej prawicy, a po południu po lewicy.

Diderot

To tylko dowodzi, że raniem jesteś dogmatykiem za, a po południu dogmatykiem przeciw.

D'Alembert

Ale wieczorem, kiedy przypominam sobie okoliczność, tak naglej zmiany moich poglądów, nie wydaje mi się prawdziwe, ani to w co wierzyłem raniem, ani to w co wierzyłem po południu.

Diderot

To tylko dowodzi, że nie przypominasz już sobie argumentów pomiędzy którymi wybierałeś, że wydają ci się zbyt słabe, aby utwierdzić cię w jakimś przekonaniu, że postanowiłeś nie zajmować się zagadnieniami tak wątpliwymi, pozostawić je innym do dysputy, i nie suszyć sobie już nimi więcej głowy.

D'Alembert

Być może.

Diderot

Ale gdyby ktoś ciebie wywołał na bok i odwołując się do uczuć przyjaźni, zapytał, które z dwóch zdań uważasz w swym sumieniu za bardziej przekonujące, czyżbyś uchylił się od odpowiedzi i udał osła Buridana?

D'Alembert

Myślę, że nie.

Diderot

Tuś mi przyjacielu! Kiedy pomyślisz, zgodzisz się ze mną, że nie są naszymi prawdziwymi przekonaniami zdania, które nigdy nie obudziły w nas wątpliwości, ale te, do których najczęściej wracaliśmy.

D'Alembert

Myślę, że masz rację.

Diderot

I ja także, Dobranoc, przyjacielu, et memento quia pulveris es, et in pulverem reverts.

D'Alembert

To smutne.

Diderot

Ale konieczne. Przynaj człowiekowi, nie mówię już nieśmiertelności, ale podwójną latą jego życia, a zobaczysz do czego dojdzie.

D'Alembert

A do czego chcesz, aby doszedł? Ale co mnie to obchodzi? Niech dojdzie do czego może. Chce mi się spać, dobranoc!

UKAZAŁ SIĘ NR. 9 — 10
czasopisma naukowego

MYŚL
WSPÓŁCZESNA

za miesiąc wrzesień-październik 1947 r.

Na treść numeru

składają się następujące artykuły:

- Czesław Znamirowski — Normy grupy wolnej
- Celina Bobińska — S'aszic a sprawa pruska w Sejmie Czteroletnim
- Włodzisław Łukasiewicz — Klauzusz Franciszek Łazowski, wódz sankiulotów paryskich podczas Wielkiej Rewolucji
- Fadeusz C. Peche — Problematyka pieńniadza w gospodarce planowej
- Jerzy Lubowicki — Ewolucja podstaw ustrojowych finansów komunalnych
- A. Maksimow — Współczesne teorie fizyczne o materii i ruchu a materializm dialektyczny

W numerze zamieszczone są nadto kroniki ekonomiczna i prawnicza, recenzje i notatki biograficzne

Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska 86, tel. 254-20, wewn. 2

Adres Administracji: Warszawa, Al. 3 Maja 36.

Cena egzemplarza: zł. 100. — Prenumerata kwartalna zł. 250. — Konto PKO. Nr. VII — 995 z zazn. Wyd. „Myśl Współczesna”. — Skład główny: Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”.

NIEMCY O SOBIE

KOMENTARZ

Trudno ocenić zdobycze ankiety niemieckiej francuskiego miesięcznika „Esprit”. Redakcja pisma zrezygnowała umyślnie z cyklu inteligentnych artykułów o Niemczech, chciała zeznać bardziej bezpośrednich i spontanicznych. Inteligentna publicystyka nie mogła być reprezentatywna i miarodajna, jeśli chodzi o rzeczywiste nastroje i poglądy nurtujące w łonie społeczeństwa niemieckiego. W charakterze ankiety nie leżała rozmowa intelektualistów z intelektualistami. Do udziału w niej zostali powołani wszyscy Niemcy francuscy strefy okupacyjnej, gdzie szeroka popularyzacja ankiety przyniosła obfity plon w postaci setek wypowiedzi bezpośrednich oraz przekazanych redakcji zeszytów szkolnych i korespondencji prywatnej. Zużytkowano też wyinki z gazet, fragmenty książek i wyjątki z przemówień. Głos zabrali Niemcy wszystkich warstw społecznych, poczynając od praczek, a kończąc na profesorach Uniwersytetu. Największą ilość wypowiedzi pochodzi od Niemców do trzydziestego roku życia. W materiale ankiety, zgrupowanym w tegorocznym czerwcowym numerze „Esprit” nie brak i głosów z innych stref okupacyjnych.

Obraz — psychologiczny przynajmniej — Niemiec 1947 r. jest więc dość pełny, i dość jednolity. Redakcja pisma uregulowała wy-

powiedzi w kilku działach. „Stany umysłów”, „Wspomnienia hitlerizmu”, „Czy Niemcy są winne?”, „Skarga na okupanta”, „Czy Niemcy są demokratyczne?”, „Sprawa młodzieży”, „Chrześcijaństwo i Kościoły” i „Propozycje na przyszłość”. Udostępniamy naszym czytelnikom fragmenty wypowiedzi, zaczerpnięte z wszystkich tych działów. Trudno czytać je bez uprzedzenia i czujności, bez oporów wewnętrznych.

Czytelnik polski będzie bardziej wnikliwym i ostrożnym czytelnikiem tej ankiety niż jakikolwiek w świecie. Pierwszą i zasadniczą obsesją Niemców jest sprawa wyżywienia. Dość to naturalne dla narodu o pustych żołądkach, gdzie dokliwość tego problemu przysłania wszystkie inne. W innych wypowiedziach Niemcy nie zdają sobie sprawy ze źródła sytości ery faszystowskiej. — Stąd pewne uznanie dla gospodarczości Hitlera. Wnoszą zażalenia na okupanta, zawiścią śledzą każdą zjadaną przez niego kromkę chleba. Przypisują mu szatański plan założonego z góry systematycznego wygłodzenia Niemiec. Odbili spowiedź generała i sądzą, że moralny akt skruchy powinien otworzyć im śpiżarnie całego świata, których powojennej pustki nie dostrzegają. Czują się sami pierwszymi ofiarami hitleryzmu. Zachwianie narodowego okresu pomyślności i żelaznego systemu karłowatego ujawniło egoizm i niesolidarność niemiecką. Wysiedleni z gorzka mówią o obojętności współziomków skapia-

cych im kęsa chleba i dachu nad głową, przedzających ich brutalnie z granic swych miasteczek i osiedli.

Jakim argumentem posługują się Niemcy, by wykażać swą opozycyjność w stosunku do reżymu hitlerowskiego? Argumentem sprzeciwu moralnego, buntów wewnętrznych, prawości osobistej. Często argumentem nieświadomości i passywności. Dziwią się, gdy to niedość przekonuje, gdy zawodzą w procesach denazyfikacyjnych. Nie rozumieją niedostateczności i niesprawdźności tych stanów, które nie znalazły wyrazu w jakichś obiektywnych formach buntu. Nie zdają sobie sprawy z politycznej wymowy aktu głosowania. Głoszą, jako rzecz oczywistą, że nie mogli narażać się na obozy koncentracyjne. Bo jak można narażać się na obóz? To w ogóle nie wchodziło w rachubę, to było zbyt straszne. Świat nie mógł tego wymagać. — A jednocześnie rzekomo nie znali prawdy o tych obozach. Więc czego się bali? Mówią o tym bez zażenowania światu, który odważył się na wszystko. W Trzeciej Rzeszy rzekomo nie było winnych, byli tylko oszukan. Tym dojrzałym ludziom nie przychodzi do głowy wyszyci się swej nieświadomości politycznej, wręcz przeciwnie, świadczyć ma ona o ich poczuciowości i niezapachu. Ma rozczulać i rozgrzeszać. Naród niemiecki (posługując się tekstem ankiety) nie lubi swych emigrantów politycznych — bo to ludzie, których postępowanie zakłóca i dyskredytuje tok ich

własnych wynurzeń. Rozmówca bowiem ankiety stara się wykażać, że żadnych absolutnie dróg protestu nie było. Dowody przeciw temu twierdzeniu są mu raczej niemiłe, bo godzą bezpośrednio w jego własny oportunizm. Za prostym i wzruszającym czasem wyznaniem stoi nieprawdopodobny często zespół uzasadnień, fałszujących historię i posługujących się nią w sposób zupełnie dowolny. Wynik końcowy jest zazwyczaj poprawny, ale całe obliczenie źle przeprowadzone. Jest skrucha. Świećcie. Ale zaraz rzedną nam miny, gdy Niemcy wyczerpująco wyjaśnią nam jej powody. Czasem jest to żołnierz, który gorąco ubolewa nad rabunkiem, dokonywanym we Francji przez oficerów Wehrmachtu, by za chwilę dodać niewinnie: „Wtedy, gdy nam, prostym żołnierzom, wolno było wysyłać z Francji do Niemiec tylko 100 gr. paczuszek!”. Czasem kto inny, kokietujący Francję sympatią i przyjaźnią powołuje się nagle na uprzednie serdeczne związki z kłódką Pełaine'a, nie widząc nietożsamości Francji tamtej z Francją demokratyczną. Nienawidzą hitleryzmu. Z wypowiedzi jednak wynika, że większość Niemców nienawidzi go tylko dlatego, że się nie utrzymał, że nie zwyciężył, że zawiódł.

Przytoczone wyjątki mają nas poinformować. Ale także — trzeba uprzedzić oczywiście wnioski lektury — mają wzbudzić czujność. Pożądana przemiana Niemiec nie jest jeszcze osiągnięta. Hanna Kulągowska

ANKIETA

CO WIEDZIAŁ Niemiec o obozach koncentracyjnych? Poza tym, że istnieją, prawie nie, ponieważ i dziś jeszcze wie o nich bardzo niewiele. System, który polegał na tym, by trzymać w najsurowszym sekrecie szczegóły terroru, zdał bez wątpienia egzamin. Wielu funkcjonariuszy gestapo nie znało nawet wnętrza obozów, do których zsyłali ludzi; większość miała zaledwie mgliste wyobrażenie o mechanizmie obozów i używanych w nich metod. Jak naród niemiecki mógł mieć o nich pojęcie? Terror był anonimowy.

A jednak nie było Niemca, który nie wiedziałby o istnieniu obozów koncentracyjnych. Nie było Niemca, który wyobrażałby je sobie jako sanatoria. Ani nikogo, który się ich nie obawiał. Niewielu było Niemców, którzy nie mieliby krewnego lub przyjaciela w obozie lub nie wiedzieli przynajmniej o internowaniu tego lub tamtego. Wszyscy Niemcy byli świadkami rozlicznych form antysemickiego barbarzyństwa; miliony Niemców przyglądały się z obojętnością, ciekawością lub sadystryczną radością pływającym synagogom lub Żydom upokorzonym w błocie ulicznym. Wielu Niemców dowiedziało się o szczegółach obozów koncentracyjnych przez radio zagraniczne. Wielu z nich weszło w kontakt z więźniami tych obozów w komendach pozaobozowych. Dość liczni są ci, którzy na ulicach i dworcach spotykali żałosne pochody jeńców wojennych. Okólnik wysłany 9 listopada 1941 roku do wszystkich posterunków policji, do wszystkich komendantów i inspektorów Policji Bezpieczeństwa i SD, jak również do wszystkich komendantów obozów koncentracyjnych, opiewa:

„Stwierdzono, że podczas odcinków drogi przebywanych pieszo na przykład między dworcem i obozem, dość znaczna liczba więźniów pada martwa lub półżywa z wyczerpania... Nie można zapobiec, by ludność niemiecka nie dowiedziała się o tym faktach...”

Trudno jest znaleźć Niemca, który by nie wiedział, że więźnia były przepelnione, że w całym kraju dokonywano bez przerwy egzekucji.

Tysiące sędziów, adwokatów i księży musieli się spostrzec, że sprawa zaczyna przybierać niepokojące rozmiary.

Ludzie interesów byli dostawcami urządzeń dla obozów koncentracyjnych, przemysłowcy żądali niewolników dla swych fabryk, urzędnicy biur personalnych wiedzieli, że karty osób zarejestrowanych zawierały adnotacje na temat ich lojalności politycznej. Cywile pracowali na granicy obozów lub w samych obozach, profesorowie medycyny współpracowali ze stacjami doświadczalnymi Himmlera, lekarze z zawodowymi zbrodniarzami. Wielu wyższych oficerów Wehrmachtu było au courant masowych likwidacji rosyjskich jeńców wojennych, żołnierze i żandarmi byli świadkami okrucieństw popełnionych w obozach, ghettach, miastach i miasteczkach na Wschodzie. Czy którekolwiek z tych stwierdzeń jest fałszywe? A teraz z tym samym spokojem i obiektywizmem postawmy następną pytanie: „Jak naród niemiecki zareagował na te nieprawdy? Nie zareagował wcale. Gorzka to prawda. Lud, który potrafił wydać wielkie indywidualności umiały dyskutować o polityce, nie potrafił nigdy odkryć fałszywej i realistycznej esencji polityki. Umiał kochać sprawiedliwość i jako naród poddawać się wszechmocny władzy przybranej w płaszczyk autorytetu...”

Wrodzona skłonność do militarystyki nie wyjąłnia dostatecznie tej podwójnej natury. Wzięty oddzielnie, Niemiec boi się śmierci,

nawet gdy masę jej upiększa cała mistyka narodowa. Lecz gdy tylko czuje się w łonie solidnej zbiorowości, przestaje się jej lękać, gdyż idealizuje natychmiast tę zbiorowość, bez względu na to, jaka jest i czuje się z nią związany przez „obowiązek” i „honor”. Nawet w małym patrolu lub jako izolowany kombatant pozostaje odważny tak długo, jak czuje za sobą ducha zbiorowości. Gdy trzeba jednak działać rewolucyjnie — w imię sprawiedliwości na przykład — wychodząc z opiekuńczych szeregów grupy, zdać się na własne siły, walczyć dla humanitarnego ideału, narażając się na wyklęcie ze społeczności — wtedy Niemiec zawodzi. Jako osobna jednostka Niemiec jest polityczną nicością, przedmiotem, narzędziem. Łącząc w sobie Parsifala i Fausta pozwala się zakuć w kajdany wierząc ufnie, że w ten sposób uzyskuje wolność. Niemcy nie podnieśli się przeciw faszystowskiemu reżymowi terroru, ponieważ nie byli dotąd narodem politycznym w pełnym tego słowa znaczeniu. Bohaterowie cywilni w Niemczech byli wyjątkami, kilka tysięcy ludzi na 80 milionów.

(Klaus Kayemann, Nadrenia).

Po czternastu latach przymusowego milczenia mamy nareszcie prawo wypowiedziania się swobodnie, lecz tysiące stron nie starczyłyby na opisanie całego oburzenia, całej wściekłości i całej nagromadzonej rozpaczki.

Nie możemy sobie wyobrazić z jaką radością, oczekiwalimy od roku 1933 interwencji Aliantów. Nie tylko moi przyjaciele i ja, lecz niezliczone masy ludzi, wszelkich zawodów, wszystkich klas społecznych w Berlinie, Hamburgu, Turyni na rozległych obszarach Pomorza i Brandeburgii, gdzie pracowałem. Wielu z nich popełniło błąd, głosząc na Hitlera, a nawet zapisując się do partii. Żydzi byli przesładowani, zaczęło się dozbierać. Austria została zajęta — lecz nikt nie zaoponował. Ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu Alianci wzięli udział w Olimpiadzie i dostarczyli Hitlerowi surowców potrzebnych na zbrojenie! Jeśli dziś czyni się odpowiedzialnym za wszystko naród niemiecki, zniewolony i bezbranny, odpowiem, że cały świat ponosi tę odpowiedzialność. Odrzucam odpowiedzialność zbiorową narodu niemieckiego. To pojęcie jest wynalazkiem Hitlera: chciał ukarać wszystkich Żydów za to, co uczyniła tylko ich część. Jak można karać Millera za winę, którą popełnił Meier? Jak mogliśmy przeciwdzielać? Obozy koncentracyjne zostały stworzone w 1933 roku żeby osadzić w nich Niemców, którzy osmieli się podnieść głos. Wiele narodów dokonuje dziś pod pretekstem bezpieczeństwa w naszych oczach renesansu na Niemczech zamienionych w stos ruiny. Kiedy patrzymy na przesładowanie ludu niemieckiego, widzimy tylko nacjonalistyczny głód podboju. Przez całą wojnę oczekiwaliśmy z niecierpliwością wyzwolenia przez Aliantów, sądząc, że po odsunięciu faszystów nie będzie już nacjonalizmu, że zostaną zrealizowane „Stany Zjednoczone Świata”, że skończą się incydenty graniczne i egoizm narodowy, że mówić się będzie jedynie o wolności, sprawiedliwości i prawach człowieka.

Jak bardzo rozczarowali nas wyswobodziciele! Nas, ofiary hitlerizmu, potraktowano dokładnie tak samo jak hitlerowców.

Jako robotnicy jesteśmy absolutnie ignoraniami; w sprawach polityki, zadowoleni jesteśmy, gdy nasza pensja wystarcza nam na zakup niezbędnych rzeczy.

Jeśli któryś z nas wstąpił do NSDAP to tylko po to, by dostać pracę, bo robotnik nie wznawał się na politykę.

Jako robotnik nie mogę zrozumieć, jak można pociągać robotnika do odpowiedzialności za winy popełnione w 1918 r. przez polityków całego świata.

Gdyby w roku 1918 lewy brzeg Renu został autonomicznym państwem, zagłębie Ruhry przeszło pod międzynarodową kontrolę, a dobra junkrów zostały rozparcelowane, Hitler nie doszedłby do władzy, gdyż właśnie wielcy przemysłowcy Ruhry i junkrowie ze wschodu wynieśli Hitlera, a nie robotnicy. Żeby zagwarantować pokój nie należy popełniać błędów 1918 roku a dbać o interesy robotnika.

Dzisiejszy trzydziestolatek Niemiec urodził się za czasów monarchii. Zna ze słyszenia jej „walory”. Lecz monarchia przestała istnieć. Miejsce jej zajęła republika weimarska. Młody Niemiec słyszał rozmowy o jej zaletach i wartości w domu rodzinnym i w szkole. Przeżył ją sam w całej jej wielkości i troskach. Ale i ona upadła. Przyszłość narodowy socjalizm. Młody Niemiec był świadkiem często nieświadomym i bezideowym jego „wielkości” i „zwycięstw”. Karmiono go „ideologią” i „konceptami świata”. Z kole i ta Trzecia Rzesza uległa rozbiciu. Młodzieniec trzydziestolatek widział więc tylko w Niemczech ruiny. Widział upadek monarchii, totalizmu, młodej demokracji. Czy można się dziwić, że sceptycznie przypatruje się narodzinom drugiej demokracji? Gdzie jest pozytywny przykład, który pomógłby mu wierzyć? Slogany mogą entuzjazmować, lecz nie przekonują na długo. Młodzież — nawet młodzież absolutnie i pozytywnie demokratyczna — potrzebuje przykładów.

Anonim, kupiec z Mayence, 60 lat.

Żadna inna partia w Niemczech nie była zdolna do zaprowadzenia porządku. Wielkim błędem było to, że rewolucja dokonała się u nas bez przelewu krwi. Ktokolwiek w Rosji był przeciw reżymowi, musiał uciekać zagranicę albo został zlikwidowany. Francja ustanowiła gilotynę w cztery lata po rewolucji.

Po 1933 r. wszystko szło jak najlepiej we wszystkich dziedzinach. Fakt, że usunięto Żydów miał swoje głębokie uzasadnienie.

Wkrótce po dojściu nacjonal - socjalizmu do władzy zlikwidowano bezrobocie, zniknęła praca źle wynagradzana, rolnikowi placono godziwie, uzdrowiono zadłużone przedsiębiorstwa. Zapewniam, że każdy szef państwa jakiegokolwiek byłoby jego imię, który spróbowałby uczynić Niemcy wielkimi i mocnymi, wszedłby nieuchronnie w konflikt z całym światem a specjalnie z Anglią. Jak zresztą wszędzie, i tu, nie obeszło się bez błędów.

Kiedy Niemcy zaczęły na nowo eksportować i stawać się wielkie i silne na światowym rynku handlowym dzięki swej odwadze i umiejętnościom Anglii (to znaczy międzynarodowemu żydostwu) było to solą w oku. Traktat wersalski był tak głupi, że żadne słowo nie jest dość silne, by go zakwalifikować. Redukcja granic, które datują się od tej epoki nosiły już w sobie zalążki przyszłej wojny.

Kto widział Polskę w latach 1914—1918 i poznał warunki życia jej nieszczęśliwego i prymitywnego ludu, może sobie wyobrazić jak ci ludzie pożądaliby kwitnących Niemiec. Dlatego Niemcy miały pozwolić na polickowanie się przez Polskę?

Pewnego dnia i tak przeludniona Polska, Italia i Czechostowacja zaatakowałyby rozbrojone Niemcy i wycięłyby z ich terytorium porządny kawałek. Niemcy były więc zmu-

szone zbroić się dla własnego bezpieczeństwa. Propozycje Hitlera względem Polski i Francji szły tak daleko, że niejedni Niemiec miał mu to za złe. Gdyby Francja w 1938 r. zawarła z Niemcami przymierze, Anglia nie wypowiedziałaby nigdy wojny. Francja jej nie przegrała, jej miasta i miasteczka nie uległyby bombardowaniu przez Anglików i Amerykanów. Wszystko zostało by w porządku. Dlaczego Amerykanie nie siedzą spokojnie w Ameryce? Czy Roosevelt potrafi zatrudnić bezrobotnych? Tak, lecz tylko w przemyśle wojennym.

Ameryka i Anglia (t. zn. międzynarodowe żydostwo) nie miałyby rynków zbytu dla swych towarów, i zbyt małe zyski. Dlatego więc aktywne Niemcy musiały zostać unicestwione. Ameryka, Kanada i Alaska posiadają olbrzymie połacie, mogące pomieścić jeszcze wiele milionów ludzi. Jak myślicie, co uczyniłby Hitler z tych krajów? Raj. Śniadanie u ambasadora angielskiego w Holandii składało się z siedemdziesięciu dań i przeróżnych trunków. A nam wydziela się bułkę z marmeladą do porannej kawy. Im więcej zamieszania w świecie, tym lepiej zarabia Żyd, przede wszystkim zaś w przemyśle wojennym, dlatego też są ciągle wojny.

Żaden Niemiec nie może zapomnieć o tym, co uczynili Anglicy i Amerykanie. Nienawidzimy ich z całego serca. Znamy przyczyny wojny i nie pozwolimy włączyć sobie na głowę nawet przez miliony głupich dziennikarzy, Ziarno zasiane przez Hitlera wejdzie pewnego dnia.

Jestem słuszarzem z zawodu, uciekinierem z Prus Wschodnich. Urodziłem się 4 lutego 1890 r. W ostatnich dwóch wojnach brałem czynny udział jako żołnierz.

Nie należałem do żadnej partii. Aż do 1932 roku byłem socjal - demokratą. Dzięki osobistemu doświadczeniu wystąpiłem jednak z partii, biorąc za zasadę nie należenie nigdy do żadnej partii. Robotnik płaci zawsze po to, by panowie sekretarze, delegaci itp. mogli zachować dobre posady. Tak było dawniej i tak będzie zawsze. Człowiek skromny i uczciwy żył w Niemczech za czasów Wilhelma i Hitlera jednak skromnie i uczciwie. Nie wiedzieliśmy nic o okropnościach i zbrodniach, oznajmianych nam dziś przez gazety.

Wierzę silnie, że Niemcy były jedynym krajem na świecie, gdzie robotnikowi powodziło się dobrze. Najlepszy dowód, że każdy Niemiec posiada zegarek kieszonkowy lub zegarek na rękę. Najczęściej dostawał go po ukończeniu szkoły albo z okazji pierwszej komunii.

W ten sposób każdy żołnierz posiadał zegarek i obrączkę, z których to przedmiotów okradali go wszyscy — Rosjanie, Anglicy, Amerykanie i Belgowie, ponieważ większość z nich nie wiedziała do'ad w ogóle co to jest zegarek.

(Fritz Hess, Frankfurt)

Niemcy zredukowane do linii Odry stanowią tylko kadlub, od którego odcieto podstawowe tereny Śląska, Poznańskiego i ogólnos Śląskiego zagłębia węglowego. Reszta Niemiec z ich strzaskanymi miastami i dogorywającym przemysłem potrzebuje jeszcze długich lat, by się odrodzić i nie przedstawić żadnego niebezpieczeństwa dla sąsiadów.

Od rozsądku Aliantów zależy, by niebezpieczeństwo to nie powtórzyło się w przyszłości. Jeśli zechcą skierować swą politykę narodową na drogę polityki europejskiej, je-

śli stworzy się silne Stany Europy, pozostawiając na stronie sfinksy ze Wschodu, każdy Europejczyk będzie mógł swobodnie skontrolować w Essen czy się dozbieramy, czy też przestawiliby produkcję na cele pokojowe. Poza tym byłoby pożyteczne stworzyć organizm europejski, regulujący sprawy polityki ogólnej i który miałby siedzibę w Genewie, Amsterdamie lub Brukseli. W łonie tego organizmu każde państwo miałoby te same prawa, mówiąc krótko, stworzyłoby się klimat podobny do tego, który panuje w republikach amerykańskich. Produkty kolonialne służyłyby wszystkim. Budżet wojenny poszczególnych narodów mógłby zostać zmniejszony a pieniądze uzyskane w ten sposób służyły na odbudowę szpitali, uniwersytetów i szkół, od których zależy przyszłość. Byłoby to dobrodziejstwem dla całej ludzkości. Zniknęłyby nieufność i odwieczna nienawiść między Francją i Niemcami ponieważ przeciwnicy Niemiec i przeciwnicy Francuzi nie są wrogami. Całe nieszczęście płynie z nacjonalizmu i musi być usunięte raz na zawsze. Wszystkie aneksje muszą zostać unieważnione. Nadrenia i Zagłębie Ruhry, jak również Saara, należą do Europy i ich naturalne bogactwa powinny służyć wszystkim ludziom. Głodzenie w nieskończoność jednego narodu może mieć przykre następstwa.

Kościół obu wyznań nie umiał zapobiec pierwszej wojnie światowej. O ile bardziej jeszcze winny przeszkodził wybuchowi następnej! Przynajmniej zaś starać się o to wszystkim sposobami. W otoczeniu wszystkich kardynałów i szefów innych kościołów papież winien polecić samolotem do Hitlera w końcu sierpnia 1939 r. Jaka hańba dla Hitlera, gdyby mimo tej interwencji wypowiedział wojnę i jaki triumf dla Kościoła, nawet gdyby ta próba okazała się daremna. Już oddawna społeczność chrześcijańska oczekuje od Kościoła wystąpienia tego rodzaju. Jak wymagać od wierzących postawy negatywnej, wtedy, gdy kościoły wykazują taką bezsilność i tak źle dostosowują się do wymagań chwili. W Norymberdze powiedziano nam, że ostatnia wojna kosztowała Europę 39 milionów ludzi. Czy Kościół wydał oczekiwany okrzyk protestu? Czy zaprotestował solennie i wyraźnie przeciw eksterminacji pięciu milionów Żydów? Należało protestować od chwili rozpoczęcia prześladowań. Wdzielimy za to wtedy pertraktacje Watykanu z Hitlerem w sprawie rzekomego konkordatu, tym mniej nadającego się do przyjęcia, że 80 proc. Żydów niemieckich było ochrzczonych. Proszę porównać te postawy z powszechnym poruszeniem sumienia ludzkiego w czasie sprawy Dreyfusa na korzyść jednego niewinnego Żyda!

(Erika Lauer, Wutöschingen, Bade)

Oświadcza się po prostu, że cały naród jest zbrodniczy i w ten sposób uzyskuje się prawo pozabawienia go własności, ujarzmnienia, morzenia głodem — dochodząc jednocześnie rzekomo wierności zasadom cywilizacji chrześcijańskiej.

W ten sposób można odegrać przed światem wspaniałą komedię. Trzeba przyznać, że czyni się to zreszcie. Sam p. Goebels nie wpadłby na taki pomysł.

Dlaczego dzisiaj żyje się tylko Trzecią Rzesz? Dlaczego nie czyni się wzmianki o tym co było dobre? Czy inne państwa nie czyniły także źle i dobrze? Czy prawo silniejszego nie panuje nadal w świecie? Czy w innych krajach nie ma obozów koncentracyjnych? Czy obecna dyktatura wojskowa różni się wiele od bezwzględności systemu Hitlera? Dlaczego zamyka się na nowo miliony ludzi w obozach? Czy w ten sposób ma się nadzieję przekonać ich o wyższości demokracji? Sieje się tylko nienawiść popielając stare błędy. Nienawiść jest najsilniejsza u tych, którzy mówią o wolności myślenia i chcą reprezentować demokrację. My, młodzi nie znajdujemy naszej drogi w tym pomieszaniu dobra i zła. Niemcy są jednym wielkim obozem poprawczym i nikt nie sądzi, że ten, kto sieje nienawiść, mógłby zebrać żniwo przychylności.

(Student)

Czekamy niecierpliwie, by dotarł do nas głos chrześcijański. Oczekujemy wiele od Francji. Nie oczekujemy nic od Anglii ani Ameryki — ponieważ w Ameryce rozwija się klasyczny neofaszystyzm i militarizm, a Anglia przez brak konsekwencji zbliża się do upadku. Wiemy, że przyszłość Europy należy do Rosji, która posiada lud najbardziej żywy, zdecydowany, prężny biologicznie. Nie chemy jednak ścisłej realizacji programu Lenina i jesteśmy przekonani, że pewnego dnia zakielkują w Rosji potężne siły religijne. Przyszłość Niemiec dostrzegam w socjalizmie, lecz nie w marksizmie.

Całe swe znaczenie światowa Europa zawdzięcza chrześcijaństwu. Zaden nowy wysiłek nie może być uwięziony sukcesem, o ile nie polega na odnowieniu sił chrześcijańskich. Amerykanizm i komunizm w ich obecnej postaci są zaprzeczeniem życia. Komunizm jednak rosyjski zdolny jest do przeobrażeń, jeśli dzięki głębokiemu nurtowi religijnemu w tym kraju — uda mu się przezwyciężyć metody gwałcenia praw jednostki. Rosja Dostojewskiego, Niemcy Alberta Wielkiego i Francja Pascala idą razem. Amerykanie nie będą zdolni uczynić nie decydującego dla starej i czcigodnej matki Europy. (G....., dziennikarz z Berlina).

Jak to było w rzeczywistości z tym trzykrotnym zaatakowaniem Francji przez Niemcy w ciągu stu ostatnich lat?

W roku 1870 Francja wypowiedziała nam wojnę dla pomśczenia Sadowy. O ile wojna niemiecko - austriacka obchodziła Francję? I jeśli wtedy zwyciężyliśmy Francję, zwdzięczamy to jedynie naszemu bohaterstwu. Mimo to nasze warunki pokojowe były względnie łagodne. Lecz Francuz jest istotą pełną nienawiści i mściwości, dlatego też począł nawoływać do zemsty. Skorzystał z pierwszej okazji, żeby zaatakować Niemcy, ponieważ nie miał żadnego innego powodu mieszać się w konflikt serbsko - austriacki. Jest naprawdę hańbą dla Francji, że małe Niemcy zwyciężyły prawie cały świat, pełny nieprzyjaciół.

Co zniszczyliśmy wtedy umyślnie we Francji?

Później przyszedł haniebny traktat wersalski, który oderwał od nas prowincje cysto niemieckie i kwestionował nasze prawo posiadania kolonii. Chociaż tubylcy walczyli za nas bohatercko i zawsze upominali się o nas.

Czy nie administrowaliśmy wzorowo naszym koloniom? A w przeciwieństwie do nas jak długo Francja musiała walczyć w swych koloniach i jak mało jest popularna jako okupant?

Nie chcemy przeczytać, że Hitler był awanturnikiem w dużej mierze, odpowiedzialnym za wojnę, lecz Francja wypowiedziała nam wojnę i powinna zdawać sobie sprawę z odpowiedzialności, którą ponosi. Czeroletnia okupacja Francji jest tylko dowodem, że Francja nie potrafiła dać sobie rady z mstwem żołnierzy niemieckich. Kiedy pewien minister nie przestaje twierdzić, że należy nam odebrać wszelką możliwość zbrojenia się, jest to doprawdy śmieszne; kiedy zaś mówi, że mogliśmy jeszcze raz zwyciężyć Francję, napelnia nas to nieuchronnie uczuciem satysfakcji. Widzimy w tym uznanie dla naszego heroizmu.

Jeśli Francja ma zamiar okradać nas nadal i odbierać nam wszelkie prawa, niech się nie dziwi, gdy nieubłagana nienawiść wybuchnie między naszymi dwoma narodami. Nie byłoby to pomyślnie dla żadnego z tych krajów, gdyż stworzyłoby łańcuch nienawiści bez końca. Może się zdarzyć również dobrze, że my, Niemcy, będziemy jeszcze potrzebni aby zapobiec wcieleniu Europy do Azji.

Na pierwszym miejscu trzeba zaznaczyć, że ani naród francuski, ani naród niemiecki nie odczuwa w sposób naturalny wzajemnej nienawiści. Jeśli ta nienawiść się objawia, to jest produktem szowinistycznego wychowania i propagandy gazetowej, która dla zysku wykorzystuje szowinizm.

Niemiec nie potrafi naprawdę nienawidzieć, pomimo wszystkich niesprawiedliwości, wszystkich okrucieństw, które znosimy my i nasi jeńcy w strefie francuskiej, w samej Francji, pomimo głodu, którym morzy się systematycznie naród niemiecki (według Clemenceau, jest o 20.000.000 Niemców za dużo), pomimo wszystkich intryg politycznych zmierzających do realizacji testamentu Richelieu'go, aby osiągnąć granicę Renu.

Francji brak prawdziwych mężów stanu, którzy chcieli by porzucić tę starą koleinę i wybrać nowe drogi, aby dotrzeć do nas. Briand był wyjątkiem w regule, — niestety, dni jego były policzone i polityka jego nie mogła mieć żadnego oddźwięku. Doszedł do władzy zbyt późno. — Także Daladier siedział silnie w sidle. Wersal wyniósł go aż tak wysoko. Hitler runął. Narodowy socjalizm zakończył życie. Lecz polityka francuska jest nadal prowadzona przez ludzi o ciasnym szowinistycznym horyzoncie, którzy prześladują bez litości „Kollaboracjonistów” (t. zn. tych paneuropejczyków, którzy pragnęli porozumienia z Niemcami), którzy oślepiają naród pięknymi frazesami i kopią coraz głębszą przepaść między naszymi narodami, zamiast tę przepaść wyrównywać.

Ważny na przykład smutną postać Gastona Uhlmana, komentatora radiowego z pierwszego procesu w Norymberdze, (największy wrogiemu Niemiec noszą często nazwiska niemieckie). Jak strasznie spotwarzał nas ten człowiek! Tacy ludzie mogą naturalnie obudzić w nas uczucia nienawiści. Sfałszował on zupełnie dowolnie interpretację naszego hymnu narodowego. Fryderyk Ebert nie wyniósłby „Pieśni o Niemcach” do rangi hymnu narodowego, gdyby miał w nas wywoływać najmniejsze nawet uczucie szowinizmu.

Sama muzyka Haydna nadaje naszemu „Deutschland über Alles” charakter modlitwy i stanowi wyznaczenie naszej miłości ojczyzny, lecz w żadnym wypadku nie jest wyrazem dążeń do ekspansji ani woli zapanowania nad innymi narodami. Uczuciowo sławiam Niemcy najwyższej ponieważ są moją Ojczyzną, ponieważ korzenie moje tkwią w narodzie niemieckim, ponieważ tę ojczyznę kocham; hymn nie ma nic wspólnego z polityką. Można by raczej zaatakować „Marsyliankę”, której bojową muzykę i słowa dałoby się łatwiej zinterpretować jako wyraz pretensji Francji do dominowania nad całym światem. My, Niemcy, odrzucałmy zawsze tę interpretację, choć jest ona zupełnie uzasadniona, jeśli wziąć pod uwagę sytuację przed stu pięćdziesięciu laty...

Twierdzenie, że w ciągu siedemdziesięciu lat Niemcy trzykrotnie napadły Francję jest również umyślnym fałszowaniem historii. Najwyżej można by powiedzieć, że wojna 1870 r. została wypowiedziana przez Niemcy, a raczej przez Bismarcka (lecz nie należy zapominać o roli, jaką odegrała cesarzowa Eugenia, która zachęcała do wojny). Chodziło wtedy o „restaurację”, o odzyskanie starych prowincji niemieckich. Bismarck, przewidywający maż stanu, pozwolił zdobyć Francji wzamię za to wielkie imperium kolonialne.

Sam Lloyd George przyznał, że Niemcy wtrącały się zaledwie w wojnę 1914 r. W 1914 roku Niemcy nie żyli żadnej chęci podboju. Nie miały intencji napadnięcia sąsiadów. Zostały wciągnięte do wojny przez głupią dyplomację austriacką, dochowując wierności swym traktatom sojuszniczym, tak jak Francja w 1939 r.

Sytuacja żywościowa jest tematem każdej rozmowy. Ludzie mało inteligentni — a tych jest niestety większość, kształtują swe poglądy nie drogą rozumowania, lecz zależnie od potrzeb żołądka. A żołądek jest pusty. Nikt nie zdołałby ich przekonać, że okoliczności nie pozwalają na wydatną poprawę żywienia ludu niemieckiego.

Na próżno próbowałem udowodnić im to na podstawie statystyk.

Odpowiedzialny za głód w Niemczech czynią oni nową demokrację albo zwycięzców. „Nie mamy co jeść, musi to być więc winą obcych, ponieważ za rządów Trzeciej Rzeszy mieliśmy wszystkiego pod dostatkiem”.

Na nieszczęście wojska okupacyjne a przede wszystkim „Displaced Persons” popełniają często błędy, które podsycają jeszcze te nastroje i wzbudzają żołądek.

Przykład: mecz piłki nożnej między Displaced Persons (Ukraińcy) w mieście niedaleko Kassel. Zabrakło trocin dla wyznaczenia linii demarkacyjnej przed goalami. Jeden z zawodników wziął 25 kg proszku mleczonego i wyznaczył nim białe linie na oczach setek Niemców, którzy może od szeregu dni nie mieli mleka dla swych dzieci. Należałoby unikać takich prowokacji.

(Student z Mahrburga)

MARLISE MÜLLER

Miałymy po 18 lat. Klasa dziewcząt. Stosy białego papieru na stołach wskazywały, że rozpoczął się pierwszy dzień egzaminów maturalnych. Nasz stary profesor przeczytał tematy wypracowań i wypisał je wielkimi literami na tablicy. Miałymy do wyboru temat literacki, temat dotyczący zagadnień świata kobiecego i temat polityczny. O tym ostatnim myślałam częściej w ciągu ostatnich lat. Z czasem zrozumiałam, że moja ówczesna wypowiedź zasługiwała na stopień dostateczny. Przekożeni zdecydowali inaczej. Temat brzmiał: „Czy można twierdzić, że wojna kształci i w jakiej mierze?” Dziś sam układ tego zdania mówię mi więcej o mym profesorce, niż dwa lata jego wykładów. Wskazówki co do wyboru tematu zostały mu udzielone przez Ministerstwo Wychowania Narodowego. Chodziło naturalnie o temat polityczny, nawet wojskowy. Zrećność profesora polegała na wyborze formuły. Zdało mi się dzisiaj, że oczekiwał od nas odpowiedzi negatywnej. Żadnej z nas nie przyszłoby do głowy traktować temat w sensie negatywnym — takie rozwiązanie wydałoby się nam groteskowe. Zresztą nie osmieliłbyśmy się nigdy być w sprzeczności z „opiniami publiczną” w pracy egzaminacyjnej. Nie będzie może rzeczą niepotrzebną nadmienić, że żadna z mych koleżanek nie wybrała cytatu z „Księcia Homburga” (temat literacki), jedna czwarta zdecydowała się na zadanie z dziedziny gospodarstwa domowego. Trzy czwarte (i ja między nimi) wybrały temat o wojnie.

Działo się to w roku 1942.

Wszystkie wypracowania były w głównych zarysach podobne do siebie. Byłyśmy tak dobrze urobione! Świat począł mieć dla nas określone oblicze (był to cel naszego wychowania) zresztą chcieliśmy za wszelką cenę zdobyć dyplom sankcjonujący naszą dojrzałość. Śmieję się dzisiaj, gdy myślę o tym, co nazywano wtedy dojrzałością. Tak łatwo było czuć się dojrzałą, mądrą, wykształconą. Myśl nasza była uformowana i utrzymywana na określonej drodze. Jeśli przychodziło nam fanfarszować na krok z bocznej od tej drogi, postąpić według osobistej inicjatywy, przywołano nas brutalnie do rzeczywistości za pomocą sloganu wiszącego na wielu drzwiach w szkole: „Führer ma zawsze rację”.

Cnotą, którą wyrabiano w nas i ceniono była łańwa i wygodna. Na imię miała: postuśnienie. Zupełne poddanie się woli Führera: to wszystko, czego mialiśmy się nauczyć. Byłyśmy tłumem młodzieży, która przekroczyła wiek dziecięcej indywidualności i łańwo było nas prowadzić. Toż w r. 1942 nie rozumiałymy, że wojna jest największą plagą ludzkości. Widzieliśmy w niej oczyma starego Katona matkę wszystkich rzeczy. I tak jak sam Führer, który w swych przemówieniach bez końca przedstawiał ją jako jedyną możliwą drogę ku lepszemu przyszłości, śpiewaliśmy pochwałę wojny w zdaniach pełnych entuzjazmu; utrzymywałamy, że uczy nas ona poznawać to co wielkie, szlachetne, wzniosłe, potrzebne i waleczne.

Co wiedzieliśmy wtedy o rzeczywistości! Śledziłyśmy z dumą na mapie postępy naszych armii w Europie. Śpiewaliśmy triumfalnie nowe marsze wojskowe. Z radością słuchałyśmy komunikatów propagandowych. Oglądałyśmy w kinach tygodnik aktualności. Wybiegałyśmy do pociągów jadących na front by podać kwiaty i słodycze naszym „feldgrau”. Pisywałyśmy listy do nieznanych żołnierzy. Robiłyśmy na drutach wełnianą odzież i poświęcałyśmy niejomal naszą własną. Odwiedzałyśmy szpitale. Byłyśmy bardzo czynne, sądząc, że znamy świat doskonale. Lecz prawdziwa natura wojny nie została nam nigdy objawiona. Młodzi ludzie, których znaliśmy, nie lubili mówić o tym, co się dzieje. Ich milczenie świadczyło o bólach przecierpianych na froncie, lecz my sądziłyśmy, że milczą przez galanterię, nie chcąc zaudać młodych panienek. Kładłyśmy to na karb wojny — nauczycielki. Nasze wypracowania były tylko komentarzem na mar-

ginesie przemówień Führera i usprawiedliwieniem morderstwa ludów. Mówiłyśmy o solidarności narodu, o koleżeństwie, o prostocie i powściągliwości życia, jakie powinniśmy prowadzić o duchu ofiary, o męstwie i sporej jeszcze liczbie cnot męskich, które mogły zajaśnieć tylko w boju. Czyniłyśmy śmiało porównania z minionymi wiekami, opierając się na his'orii wojen, by wyciągnąć z niej wnioski pomyślne dla rasizmu i naszych ówczesnych teorii. Podczas tych pięciu godzin pisałyśmy pod wrażeniem najbardziej żarliwego podziwu. Wykazałyśmy w tym czasie, że skorzystałyśmy z naszych lekcji i że możemy opuścić szkołę, przejść do organizacji i formacji partyjnych, gdzie nas oczekiwano. Byłyśmy na to dosła'ecznie „dojrzałe”.

Cicha nadzieja naszego profesora nie znalazła oddźwięku w żadnej duszy.

Wojna, jako nauczycielka — jest nią z pewnością nadal — oświeciła nas wszystkie: tę, której brat padł na froncie, tę, której pociski zabierały dach i majątek; tę, która musiała zerwać ze swym narzeczonym, który mocno skompromitowany jako dawny SS-mann, nie mógł zapewnić jej przyszłości; te wszystkie, które musiały opuścić swą rodzinną ziemię, porzucić studia dla zarobkowania, ponieważ ich mężowie pomarli w niewoli.

Powody, tysiące powodów, by przeklinać straszliwą wojnę i napisać nowe wypracowanie. Ruiny miast, łzy opuszczonych, rany inwalidów, zrozpaczone twarze szaleńców, groby na polach bitew — to krzyk oskarżenia! Apeluja one do sumienia świata i ucza nas jednego krótkiego zdania: „Nigdy więcej wojny!” Posiadam jeszcze brulion mego wypracowania maturalnego z 1942 roku. Z trudem odcyfrowuję uwagi, które notowałam na temat meji pracy. Zdumiewam się sama sobą i pytam: „Czy to ja pisałam? Czy zmieniłam się aż tak dalece, że nie rozpoznaję się sama w zwierciadle moich własnych słów?” Wszystkie te świetne słowa, które dźwięczały tak żywo, nie wyrażają prawdy. Zbłądy i szrakawy się jak Trzecla Rzesza. Jestem wzruszona za każdym razem, gdy przeglądam te stare kartki i gdy je składam. Byłyśmy pełne wiary, my, dziewczęta, lecz nie dosyć niezależne, by odpowiedzieć tym, którzy wiedzieli jak nas rozentuzjzować. Kiedy drzewo gnije od korzenia, młode, jasne pędy nie mogą go uratować. I kiedy drzewo pada, a młode gałązką nie są dostatecznie duże, by rozsytać dobre nasiona po ziemi, nie zostawiają nic po sobie i gniją jak reszta drzewa.

Ogarnia mnie często zmieszanie, gdy myślę że mialiśmy zmienić nasze poglądy w tak krótkim czasie. Kto nam zaufa, gdy my nie ufamy sobie samym? Długo pozostawałyśmy wierne Führerowi. Poświęciłyśmy wszystko dobrowolnie. Jest rzeczą oczywistą, że znajduje się niewiele ludzi zdolnych zrozumieć, jak trudno nam było powziąć decyzję. Lecz chcieliśmy, by nam wierono, gdy mówimy, że nie zmieniamy zdania zależnie od potrzeb, ale po długim i dojrzałym namyśle, po dowiedzeniu się prawdy.

Bo stałyśmy się ostrożne. I to, czego nie odważyłyśmy się czynić dawniej, robimy teraz, może aż nadto: szukamy, badamy, dyskutujemy, krytykujemy.

Wielu ludzi pałży na nas dziś, jak na zbłąkaną trzode, której nie można powierzyć żadnego odpowiedzialnego zadania; jak na niepoprawnych faszystów, młodych hitlerowców, których wojna całkowicie spacyła.

Nie możemy odeprzeć tych zarzutów. Nie możemy również udowodnić, że wojna nas zmieniła i wykształciła, bo rzeczywistość — kto mógłby dać wiarę słowu byłych hitlerowców?

A jednak mimo wszystkich kłamstw, którym byliśmy otoczeni pozostałyśmy w gruncie uczciwi.

Wojna nauczyla nas czegoś zasadniczego: to, co nie jest ugruntowane na prawdzie, zalamuje się.

Jestem antyfaszystką i mam za sobą sześć lat obozu koncentracyjnego. Jako zażarty wróg prusac'twa widziałem w nacjonal-socjalizmie naturalną kontynuację imperalizmu pruskiego. Dlatego wstąpiłem do partii komunistycznej, jako do jedynej partii walczącej z rzeczywistością z faszyzmem. Skoro tylko hitlerowcy doszli do władzy, zostałem uwięziony razem z tysiącami innych i traktowany w sposób wiadomy wszystkim. Krótko przed upadkiem faszystów zostałem skazany na śmierć i tylko nadejście Aliantów ocaliło mi w ostatniej chwili życie. Kiedy powróciłem do domu, Bingen było jeszcze w amerykańskich rękach. Miesiące później weszły wojska francuskie. Nam, antyfaszystom nie podobało się postępowanie Amerykanów — byli zbyt łagodni wobec faszystów. Przecież naszego regionu przez Francuzów ucieczyło nas szezerze. Byłyśmy pewni, że powiejsie zaraz inny wiatr, ponieważ Francja uciepiała tyle od hord faszystowskich. Oczywiście nie spodzielaliśmy się wywieszenia wszystkich hitlerowców, mieliśmy na to zbyt wiele zdrowego rozsądku, ponadto znaną nam była przysłówowa wielkoduszość Francji w stosunku do pokonanych. Liczyliśmy tylko na usunięcie faszystów ze wszystkich wpływowych i odpowiedzialnych stanowisk i na powroście tych stanowisk wypróbowany przeciwnikom hitlerizmu. Tymczasem co nastąpiło? Mówię o swoim terenie, nie znam stosunków panujących gdzieindziej. Prawdziwym antyfaszystom udaremnia się wszelką aktywność polityczną, podczas gdy szarlatan polityczny pełnią nadal urzędowanie. W ukryciu a czasem i otwarcie hitlerowcy szerzą propagandę, której ostrze wymierzone jest przeciw Aliantom a zwłaszcza Francji. Sami Francuzi ponoszą odpowiedzialność za tę sytuację. Gdy mówię nazistom, że całą tę katastrofę

sprawa hitlerowska szaleństwo, śmieją się wam w nos, Spodziewają się jeszcze więcej Europe pod niemieckim bułem. Gdyby Aliancji wycofały się z Niemiec (co na szczęście nie nastąpi) nastroje hitlerowskie wzięłyby rychło górę. Jeśli Francja pragnie zmiany stosunków w Niemczech, musi zmienić swą dotychczasową politykę. Trzeba zaufać tym, którzy w przeszłości dali dowody swych przekonań, a nie wyrzucać ich za drzwi i zrażać na każdym kroku. Uczciwi przeciwnicy Hitlera wiedzą, ile zawdzięczają Francji, dlatego też chcieliby uczynić wszystko co leży w ich mocy, aby uchronić Niemcy a jednocześnie i Francję przed losem, któremu pod-

legały zbyt często. Jeśli nawet w ciągu najbliższych dwudziestu lat Niemcy nie będą zdolne do wypowiedzenia wojny, przyjdzie dzień, kiedy będą mogły to uczynić. Będzie wtedy za późno na odrabianie popełnionych błędów. Nie skreśliłem tego obrazu w celu przedstawienia rzeczywistości w czarnych kolorach, lecz jako wyraziciel opinii każdego uczciwego demokraty.

„Teraz dopiero czujemy, że żyliśmy dwadzieścia lat w zupełnej samotności intelektualnej. Z rozpaczą próbujemy odzyskać miejsce

w świecie. Mam okazję czytać książki, o które trudno dziś w Niemczech. W ten sposób zbliżają się do mnie ci cudzoziemcy, często nieznanymi: Hesse, Mann, Hemingway, Faulkner, Huxley, Gide i Malraux. Wznoszą się jak wieże wśród wzburzonych fal, podają nam znaki i kierują nami. Trzeba wyczerpać dwa naście lat duchowego rozwoju świata. Przychodzi jednak wtedy straszny moment, gdy czujemy: „Nie masz prawa, nie możesz do nich mówić, oni nie mówią do ciebie. Potępiają cię jak reszta świata. Należysz do generacji, które należy zapomnieć, które nie powinny wchodzić w kontakt z innymi ludźmi“.

Pozbawieni łączności duchowej, załamujemy się przy naszych biurkach. Po co patrzeć jeszcze na wspaniałą pełnię życia, po co spalać się jeszcze raz w duchowym ogniu? Nie warto. Nie warto. Dla ciebie i tobie podobnych istnieje tylko zmierzch, poprzedzający noc. Ach, nikt nas nie wzywa, nikt nie chce nas słyszeć, nas, młodych Niemców wczorajszych, których wojna postarzała i obarczyła winą.

Czy są jeszcze ludzie, którzy mogą nas ocalić — przed upadkiem w nicotę? (Jeniec wojenny z St. Denis).

Wybrała i przełożyła:

Hanna Kulągowska

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

O właściwe rozumienie reformy wyższego szkolnictwa

DZISIAJ, kiedy projekt Ustawy o nowej organizacji Nauki i Szkół Wyższych wszedł w swoją końcową fazę, można już podsumować zarówno dyskusję, która toczyła się dotąd wokół projektu, jak również omówić intencje projektodawców, zawarte w wielokrotnie omawianej ustawie.

Sądzę, że najbardziej istotnym rezultatem dotychczasowej wymiany zdań jest powszechne niemal zrozumienie, że zamierzony projekt nie ma na celu ani zarządzeń natury represyjnej w stosunku do grona profesorskiego, ani zarządzeń znoszących samorząd uniwersytecki, ani wreszcie zarządzeń, ograniczających wolność badań naukowych. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że zasadniczą innowacją ustawy, świadcząca o jej głębokim nastawieniu demokratycznym, jest wprowadzenie czynnika naukowego do centralnego ośrodka dyspozycyjnego jakim jest Ministerstwo Oświaty.

Oparcie decyzji Ministerstwa Oświaty w sprawach nauki i wyższego szkolnictwa na autorytecie naukowym i na opinii czynnika społecznego, będzie stanowić doniosły krok naprzód w rzeczywistym zdemokratyzowaniu nie tylko naszych Uniwersytetów, lecz również codziennej, praktycznej działalności Ministerstwa.

Wystarczy przypomnieć, że Rada Główna, której zwierzchnikiem i przewodniczącym będzie Minister Oświaty, i która składać się będzie w 2/3 z czynnika naukowego, oraz profesorskiego i w 1/3 z czynnika społecznego (zainteresowane Ministerstwa, Związki Zawodowe, Samopomoc Chłopska) posiada głos decydujący we wszystkich sprawach dotyczących nauki i dydaktyki nauczania i głos doradczy w dziedzinie administracji szkolnej (mianowicie rektorów, dyrektorów administracyjnych, profesorów itp.).

W ten sposób wszystkie zagadnienia, dotyczące programów nauczania, habilitacji profesorskich, planowania naukowego wyłącza się spod przypadkowego działania aparatu administracyjnego, a opiera się na kolekiwnym działaniu czynnika naukowego, umożliwiającego jednocześnie, i to może jest najistotniejsze, wprężenie nauki i prac wyższego szkolnictwa w służbę ogólnego planu państwowego, a w pierwszym rzędzie planu gospodarczego kraju. Jest rzeczą absurdalną, że dotąd nie jesteśmy w stanie planować ani sieci naszego wyższego szkolnictwa, ani wykszolenia kadr zgodnie z zapotrzebowaniem planu przebudowy ustrojowej, ani badań naukowych, bez których dalszy rozwój gospodarczy i techniczny jest niemożliwy.

Ciekawy w tej dziedzinie eksperyment przeprowadził niedawno rektor Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej, prof. Kulczyński, kiedy zwołał ogólną naradę swoich pracowników naukowych z pracownikami odpowiednich gałęzi przemysłu. Jakim otrzymany był rezultat? Narada wykazała, że o ile przemysł doskonale wiedział, czego chce od nauki, o tyle pracownicy nauki nie tylko byli zupełnie bezradni wobec postulatów przemysłu, lecz nawet nie mogli skonstruować swoich żądań wobec przemysłu. I nie w tym nie ma dziwnego. Istotą każdego planowania jest operowanie określonym materiałem sprawozdawczo-statystycznym i określona, ujęta jak najszerszej, baza techniczna. Te przesłanki nie dadzą się uchwycić w ramach jednej uczelni, a nawet ośrodek dyspozycyjny, oparty w swoich decyzjach o czynnik naukowy i społeczny, w swoim zaś wykonaniu o pełny aparat Ministerstwa, czy nawet szeregu Ministerstw.

Jeżeli Minister Minc na Zjeździe Przemysłowym w Szczecinie rzucił hasło rewolucji technicznej, której musimy dokonać w oparciu o wieczną żywą inicjatywę społeczną i o naukowy wysiłek polskiego technika i polskiego uczonego, to zagadnienie centralnego ośrodka planującego w szkolnictwie wyższym staje się w tych warunkach nakanami chwili.

I w tej dziedzinie Rada Główna, opierając się z jednej strony o aparat Ministerstwa, a z drugiej strony o szeroką sieć instytutów naukowych oraz naukowych komisji specjalnych, które przejmie po Radzie Szkół Wyższych, będzie miała doniosłe zadania do wypełnienia.

Ze istotnie w tym kierunku idą wysiłki Rady Szkół Wyższych, jak również i Ministerstwa Oświaty świadczy najlepiej porządek dzienny szerokiej narady profesorów i naukowców, zwołanej na listopad bieżącego roku. Celem narady będzie omówienie zagadnień projektowanej reformy ustrojowej i programowej pod kątem widzenia planu gospodarczego państwa i przebudowy ustrojowej kraju. Zagadnieniom planowania w

nauce i planowania kadr naukowych poświęcone będą aż trzy referaty na ogólną liczbę pięciu. A mianowicie rektora Kuleczyńskiego, prof. Świętosławskiego i prof. Drewnowskiego.

Oczywiście planowanie jest niemożliwe bez określonego wpływu centralnego ośrodka dyspozycyjnego na politykę poszczególnych Uniwersytetów i Szkół Wyższych. Stąd ustawowo zastrzeżony wpływ Ministerstwa i Rady Głównej na nominację rektorów i profesorów, stąd koncepcja dyrektora administracyjnego mianowanego przez Ministra, lecz odpowiedzialnego przed rektorem, stąd koncepcja kontroli Szkół Wyższych od strony dydaktycznej i naukowej.

Należy jednocześnie z całym naciskiem podkreślić, że samorząd uczelniany bynajmniej nie zostaje zniesiony. Pozostaje Senat, przedstawiający Ministerstwu trzech swoich kandydatów na rektorów i kierujących częścią prac dydaktycznych i naukowych Uczelni; pozostają rady wydziałowe ze swoimi uprawnieniami, pozostają Bra'nie Pomocy oraz organizacje ideowo - wychowawcze.

Nowością jest tylko wbudowanie samorządu uczelnianego w ogólny plan ustrojowy państwa. Samorząd staje się nie celem samym w sobie, a środkiem do celu, którym jest: wiedza, prawda obiektywna i przyszłość narodu i państwa.

Temu też celowi również służy, dyskutowana obecnie, reforma programowa, sprwadana częstokroć do przyszłowiej już dzisiaj dwustopniowości. Odnoszę jednak wrażenie, że dwustopniowość jest na ogół źle rozumiana i stąd powstają obawy, że jej rezultatem będzie obniżenie ogólnego poziomu studiów.

Tymczasem zamierzenia Rady Szkół Wyższych są wręcz odwrotne. Ołbrzymi zasięg wiedzy ludzkiej czyni dziś niemożliwym zamknięcie jej w ramach jednego studium uniwersyteckiego. Przy zachowaniu dzisiejszej struktury nauczania, otrzymujemy bądź teoretycznych dyktantów, pozbawionych zresztą wiadomości dotyczących ostatnich naukowych osiągnięć, bądź praktycznych dyktantów, dla których zamknięta jest dalsza droga pogłębiania swej wiedzy.

Rezultatem tego stanu rzeczy jest dziś powszechnie znany. Przemysł nie posiada dobrze przygotowanych kadr inżynierskich, techników, ekonomistów itp., równocześnie nauka polska pozostała daleko w tyle za zdobyciami wiedzy ZSRR czy też Ameryki.

Reforma nauczania ma więc na celu zrealizowanie w ramach jednej uczelni dwu stopni nauczania. Praktycznego, dającego tytuł i kwalifikacje zawodowe (inżynier-technik, inżynier-chemik, inżynier-ekonomista, inżynier-agronom) i naukowego, przygotowującego młodego człowieka do przyszłej pracy badawczej i wynalazczej.

Zasada dwustopniowości ma więc na celu w pierwszym rzędzie podniesienie poziomu studiów, zarówno praktyczno - zawodowych jak i naukowych, w granicach oczywiście planowego zapotrzebowania, a więc z ilościowym przesunięciem punktu ciężkości na studia zawodowe.

Blższe rozpracowanie zasady dwustopniowości wykazało jednak, że tak jak w każdej dziedzinie tak i w tej, żaden szablon nie mo-

że wyczerpywać zagadnienia. Proste stosunkowo rozstrzygnięcie, jeżeli chodzi o studia politechniczne, ekonomiczne, rolne a nawet farmaceutyczne i stomatologiczne, okazało się bardzo skomplikowane przy reformie studiów humanistycznych, matematyczno-przyrodniczych i medycznych, nie mówiąc już o prawniczych, w stosunku do których przeprowadzona ostatnio reforma okazała się najzupełniej niedostateczną, jeżeli nie chybioną.

Należy przyznać, że najbardziej rewolucyjnymi w projektowaniu reformy swoich studiów okazali się medycy z prof. Kasprzakiem i Czyżewiczem na czele. Ich koncepcja uprzączenia studiów ze skróceniem studiów teoretycznych do dwóch lat i z przedłużeniem studiów praktyczno - klinicznych do 3 i pół lat, a więc wyczerpujących studia medyczne pierwszego stopnia w 5 i pół lat, z równoczesnym przesunięciem punktu ciężkości z anatomii na szereg nowych dziedzin nieznanych dotąd w polskiej medycynie, posiada wszystkie cechy śmiałej, rewolucyjnej myśli naukowej, pragnącej radykalnie zerwać z dotychczasowym przestarzałym szablonem. Tym nie mniej jednak opracowana przez nich reforma posiada jak dotąd jeden zasadniczy minus, mianowicie brak perspektywy dla kształcenia medyka-naukowca, medyka-badacza. Należy przypuszczać, że brak ten koledzy medycy potrafią usunąć w toku dalszych swych prac.

Natomiast, jeśli chodzi o studia humanistyczne i matematyczne - przyrodnicze, powstała poważna trudność zmieszczenia studium pedagogicznego w ramach ogólnego studium w ten sposób, żeby tytuł magistra stał się nie tylko niższym tytułem naukowym, lecz równocześnie uprawniającym do pełnienia swego zawodu.

Rozwiązanie zagadnienia w tej właśnie płaszczyźnie, jest jednak tym konieczniejsze, że musimy postawić sobie zadanie obsadzenia w najbliższym czasie naszych szkół istotnie kwalifikowanymi nauczycielami, których przy dotychczasowym systemie czteroletniego studium zasadniczego i dwuletniego studium pedagogicznego nie potrafili wykształcić w niezbędnej ilości w stosunku do naszych potrzeb, obecnie istniejące wydziały uczelniane.

Przedmiotem również zasadniczej dyskusji, rozstrzyganej obecnie praktycznie przez odpowiednie rozporządzenia Ministerstwa Oświaty było również zagadnienie międzywydziałowych katedr Wzajemnej, historii doktryn ekonomicznych oraz filozofii materializmu dziejowego. W pierwszym rzędzie w pewnych kołach uniwersyteckich był wysuwany zarzut, że nie ma jeszcze nauki o Polsce Współczesnej i że tego przedmiotu nie można traktować jako sprecyzowanej dyscypliny naukowej.

Po spokojnym przeanalizowaniu problemu okazało się jednak, że i ten zarzut postawiony był w płaszczyźnie niesłusznej. To, że nie ma dotychczas opracowania naukowego problematyki Polski Współczesnej, nie oznacza jeszcze, że nie istnieje potrzeba takiego opracowania nie komplikacyjnego, a analitycznego, opartego na naukowej analizie dróg rozwoju historycznego, naukowej analizie gospodarczych i społecznych przesłanek Demokracji Ludowej, ustroju, który stanowi nie-

wątpliwie nowe zupełnie zjawisko w historii współczesnej.

Czy można sobie zresztą wyobrazić młodego człowieka z uniwersyteckim wykształceniem, który nie będzie rozumiał sprężyn historycznego rozwoju, który nie będzie rozumiał nowoczesnych form i metod ludowładztwa i jej zwycięskiej myśli politycznej? Czy można sobie wyobrazić inżyniera, lekarza, ekonomistę, nauczyciela ludowej Polski, który będzie obcy procesom gospodarczym i politycznym naszej epoki? Naukowa rozpracowana problematyka Polski Współczesnej stanowi dziś kluczowe zagadnienie obecnej reformy programowej, stanowi kluczowe zagadnienie demokratyzacji Wyższych Uczelni.

W tej samej płaszczyźnie należy traktować również katedry historii doktryn ekonomicznych i filozofii materializmu historycznego. Wprawdzie nikt już dzisiaj nie wysuwa zastrzeżeń co do naukowego charakteru wymienionych dyscyplin, lecz ciągle jeszcze pokutują obiekty, że wprowadzenie tych przedmiotów jako przedmiotów obowiązkowych, oznaczać będzie zmarskowanie naszych Uczelni.

Sądzę, że w tej chwili jesteśmy bardzo dalecy od podobnego „niebezpieczeństwa“. Nie mówiąc bowiem już o tym, że nikt w obozie ludowym nie posiada podobnych zamiarów, jesteśmy dzisiaj raczej świadkami szerokiej ofensywy filozofii idealistycznej, powiedzmy konkretniej, katolickiej, która przy braku rzeczowej kontrakcji z naszej strony, a więc przy jednostronności jednego sposobu myślenia, może w rezultacie doprowadzić do wypaczenia myślowego naszej młodzieży, a nawet do jej niezdolności do naukowego rozumienia otaczającej nas rzeczywistości, po jej nieprzygotowaniu do sumiennej pracy badacza nad wykrywaniem ciągłych nowych i nowych elementów prawdy obiektywnej.

„Z natury swej myśli ludzka — pisał Lenin — jest zdolna dać nam absolutną prawdę, która składa się z sumy prawd względnych. Każde studium rozwoju nauki dodaje nowe ziarno do tej sumy absolutnej prawdy, lecz granice prawdy każdej tezy naukowej są względne i dalszy wzrost wiedzy bądź rozszerza je, bądź zwęża“.

Żeby więc móc zasób odkrywanej przez nas prawdy obiektywnej nieustannie rozszerzać, należy uczyć naszych młodych uczonych i praktyków zawodowców patrzeć na otaczające nas życie, jako na proces naukowo poznawalny, jako na przyczynowy rozwój wydarzeń, którego elementy należy odkryć, by móc nimi kierować.

Sila filozofii materializmu dialektycznego polega w tych warunkach nie na dogmatyzmie, a na odkrywczym stosunku do prawdy, na świadomości, że „człowiek — jak pisał Lenin — nie może objąć całej prawdy. Może tylko wiecznie zbliżać się do niej“.

Zagadnienie wdrożenia umysłowości naszej młodzieży do naukowego traktowania zjawisk i naukowego rozumowania przyczynowego związku wydarzeń jest dzisiaj zagadnieniem nie dyskusyjnym, a zagadnieniem państwowej racji stanu, od której zależy wielkość i przyszłość naszego narodu.

Na szlakach historycznego rozwoju zwyciężają nie te narody, które są zdolne do najwspanialszych odruchów natury emocjonalnej, lecz te narody, które silę swej ekspansji emocjonalnej potrafią oprzeć na rzetelnym wysiłku, rzetelnej pracy naukowej i doskonalszej, niż istniejąca dotąd, strukturze gospodarczej kraju.

To stanowi już dzisiaj aksjomat. I nic też dziwnego, że chcemy, aby ten aksjomat, odkryty lat temu sto, stał się ożywcza silą naszych wyższych uczelni i naszej młodzieży, że chcemy, by młodzież nie tylko potrafiła z żywymi naprzód iść, lecz żeby zdolna była świadomie, w pełnym rozumieniu przyczynowego łańcucha zjawisk „po życie sięgnąć nowo“.

TREŚĆ Nr 42.

Mieczysław Jastrun — Przemiany Juliana Tuwima. Adam Ważyk — Niedobry klient. Jan Kott — Rzeczy ciekawe. Ryszard Matuszewski — Notatki z podróży do Niemiec (I). E. Krassowska — O możliwościach planowania w organizacji nauki. Stanisław Dygat — Pożegnania (II). Zygmunt Kałużyński — Socjalistyczna szkoła sera. Roger Garaudy — Komunizm i moralność (XI). Stefan Żółkiewski — Szosa Wokółkowska. Stefan Otwinowski — W Krakowie (list dwudziesty ósmy). Przegląd prasy. Korespondencja. Noty.

WYNIKI KONKURSU NA PIOSENKĘ ŻOŁNIERSKĄ

Dom Wojska Polskiego łącznie z redakcją „Polski Zbrojnej“ rozpisali w maju b. r. konkurs na piosenkę żołnierską p. t. „Żołnierska o pieśni“. Celem konkursu było dostarczenie Odrodzoneму Wojsku Polskiemu odpowiednich tekstów poetyckich do nowych piosenek żołnierskich, któreby zaspiewyły względnie uzupełniły dotkliwe luki w repertuarze piosenek żołnierskiej, nie zawsze dotąd stojącej na należyłym poziomie przede wszystkim pod względem literackim.

Konkurs trwał do dnia 15 września br. W konkursie wzięło udział 204 autorów nadsyłając ok. 400 tekstów.

Jury konkursu w składzie: Borowy Piotr ptk., Korta Adam ptk., Maliszewski Aleksander, Perkowski Piotr, Werner Henryk ptk. na posiedzeniu w dniu 7 października 1947 roku stwierdził mimo szerokiego zainteresowania się społeczeństwa i wojska ogłoszonym konkursem, nierówny i na ogół niespełniający oczekiwań poziom nadesłanych prac.

Biorąc pod uwagę walory literackie, muzyczne i treściowe nadesłanych tekstów jury postanowiło nie przyznawać pierwszej nagrody, natomiast powiększyć ilość nagród drugich (równorzędnych) do trzech (3) oraz trzecich (również równorzędnych) do 4-ch.

Po dyskusji nagrody zostały przyznane następującym autorom:

Drugą nagrodą (3 równorzędne) w wysokości 20.000 zł. każda — St. R. Dobrowolskiemu za tekst poetycki „Idziemy żołnierze“, Janowi Rojewskiemu za tekst „Czekaj na Pradze“, Stanisławowi Wygodzkiemu za tekst poetycki „Pieśń zwycięstwa“.

Trzecią nagrodą (cztery równorzędne) w wysokości 10.000 — zł. każda — T. Gajcy, Topornickiemu za tekst poetycki „Kasia“, Tadeuszowi Kubiakowi za tekst poetycki „Dziewczyno moja“, Robertowi Stillerowi za „Piosenkę piechura“, Zbigniewowi Stolarcowi za tekst poetycki „Białoczerwona“. Poza tym jury konkursu mając na uwadze masowość udziału żołnierzy w konkursie postanowiło wyróżnić dwa teksty napisane przez żołnierzy a mianowicie: tekst „Żołnierze spod Berlina“ kpt. Zelicza Stefana oraz tekst — „Dziś wracam z Berlina“ strzelca Orłowskiego Zenona J. w. 2584.

Wyróżnionym tekstom postanowiono przyznać dodatkowe nagrody po 5.000 zł. każda.

Poza tym jury konkursu postanowiło dokonać pewnej liczby zakupów wśród nadesłanych na konkursy

BARBARA RAFAŁOWSKA

Za parawanem „konceptji zachodniej“

TRUDNO uwierzyć, że w okresie kiedy kapitał anglo-amerykański prowadzi ostrą ofensywę zmierzającą do odbudowy zaborczych agresywnych Niemiec, kiedy w samych Niemczech w ich strefach zachodnich odradza się i rośnie na sile polityka odwetu — w Polsce znalazł swego wyraziela i komentatora kierunek, którego hasłem jest moralne oczyszczenie Niemców i to właśnie Niemców związanych z regimem hitlerowskim.

Właśnie w Polsce, której ziemię użyźniły popioły Majdanka, Treblinka i Oświęcimia, gdzie każda cegła ruin Warszawy jest niemy świadkiem czynnym hitlerowskich zbrodni, znalazł się autor, którego dzieło stanowi w praktyce jak to niżej postaramy się wykaazać rehabilitację ludzi będących narzędziem hitlerowskiego reżimu.

Autorem tym jest Jan Dobraczyński. Dobraczyński w swej książce „Najeźdźcy“ wysuwa wprawdzie jako motto słowa „Odpuszczenie nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ i stawia problem na płaszczyźnie religijnego humanitaryzmu i człowieczeństwa, które powinno stać się motorem postępowania nawet a może właśnie w stosunku do antyhumanitarnego i antyludzkiego postępowania Niemców. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że jego postawa wykracza daleko poza właściwe pojęcie hasła miłości bliźniego, że nabiera szczególnej wymowy politycznej: ostrej i niedwuznacznej. Przy całym swym „prymitywizmie“ jest ona przy tym dość emocjonalnie nasycona, by w stosunku do szerokiego mas czytających a nie „uczonych w piśmie“ — oddziaływać w sposób budzący jak najdalej idące zastrzeżenia.

Książki Dobraczyńskiego, których tematyka jest związana z wojną i okupacją nie tylko wysuwają zasadniczą tezę wybaczenia Niemcom hitlerowskim i zrozumienia motywów ich postępowania, lecz także rzutują ten problem na tło stosunków do Związku Radzieckiego. Taki wniosek sugerują powieści Dobraczyńskiego, w całej osnowie melodramatycznych i ekliwicznych dzieł ich bohaterów, jednakowo nie przekonujących i „robionych“ zarówno w schemacie akcji jak i „wyglądających“ przez nich pouczających tyradach. Ludzie Dobraczyńskiego zdają się być w każdym momencie „porcie parole“ autora, i to wszyscy zarówno Polacy jak i Niemcy. Ostateczny bilans całej tej galerii „nosićieli idei“ jest prosty i nieskomplikowany: odnosi się nieprzecie wrażenie, że w książce wypowiada się w sposób pełny i zdecydowany sam autor, który stara się narzucić czytelnikowi swoje polityczne wyznaczenie wiary. Żaden komentarz autorski tego wrażenia nie rozprasza. Niemcy Dobraczyńskiego w „Najeźdźcach“ odmalowani na zasadzie metody „wzucia się“ w ich postacie i psychikę, to jednocześnie Niemcy, tacy, w jakich Dobraczyński wierzy i jakich rozumie.

Niemcy Dobraczyńskiego — to „elita“ narodu, dobrze wychowani synowie wielkich baronowskich lub prawie baronowskich rodzin, posiadacze „von“ — tzw. ludzie na „poziomie“, ludzie myślący, z koncepcją, podporządkowaną „Najeźdźcy“ w tytule, w akcji natomiast ludzie wysokiej kultury, współczujący z cierpieniem i pełni inwencji w odczuwaniu piękna zabytków sztuki. „Najeźdźcy“ w tytule, w akcji bohaterscy, świetni żołnierze poświęcający się armii, Dobraczyński usiłuje być bezstronny w przedstawieniu psychiki swych rodaków na całej przestrzeni książki maluje postępowanie Niemców, „z ich punktu widzenia“, jako coś, co nie zawsze było „fair“, ale za co na Boga nie odpowiadają przecież oni, lecz coś, czy ktoś o kim się nie wie i czego się nie widzi. Dlatego „przykroci“, które „stają się w Polsce“ — bohaterowie starają się zlagodzić, pomagają dotkniętym itp. Dlatego w potężnych dwóch tomach wymykają się czytelnikowi obozy, strzały w tył głowy, łapanie, hucłowski stosunek do ludzi. W ujęciu Dobraczyńskiego — „japanki“ to dumna Polska, która nie pozwala się „tknąć“ i szlachetność Niemca, który „ratuje“.

W ujęciu jego bohaterów ghetto jest samo sobie winne. Jest, istnieje w postaci „odmetów“, „czarnej otchłani chaosu“, kipiącego natłoczonym życiem, otchłani walki wszystkich ze wszystkimi (!) Samarytańskie rysunki ostrze gające przed wszami i ponad tłumem cyniczna twarz żydowskiego policjanta. Ten, trzeba przyznać wybitnie oryginalny obraz ghetto, oryginalny na tle całej europejskiej literatury wojennej, ma swój komentarz ideologiczny. Komentarz — usprawiedliwienie. „Cóż to za szaleństwo ta likwidacja? — zapytał Herbert tak, aby coś powiedzieć. Wiedział przecież (podkreślenie moje), że ta wojna nie przypomina łagodnych pojedynków „do pierwszej krwi“, ale zacięła, nie znająca pardonu walkę na śmierć i życie“. W ten sposób Dobraczyński z punktu widzenia swoich bohaterów wytłumaczył ghetto i wybaczył jego twórcom, jak wybaczył twórcom Oświęcimia, Birkenau, twórcom muru, który stanął między człowiekiem i człowiekiem. „Widocznie tak trzeba było.“ Widocznie musiały plakać Majdanki i Oświęcimie ich placem. Widocznie był jakiś sens wśród sensów najwyższy. To już nie są słowa bohaterów, lecz słowa komentarza autorskiego. Dobraczyński nie tylko znalazł argumenty usprawiedliwiające wroga (walka na śmierć i życie), ale i uznał je. Znalazł pomost, z którego dała się usprawiedliwić nie tylko ideologia hitlerowska Niemców, ale nawet taktyka (przemilcz-

nie). Postarał się wpoić w czytelnika przekonanie o niewinności Niemców, pokazuje ich tylko i wyłącznie od strony ich ludzkich słabości, człowieczeństwa, by odpowiedzialność za zbrodnie rzucić w próżnię czyli zlikwidować.

Z tych wybielonych odrealnionych potwornych zbrodni, postawionych na płaszczyźnie zwykłego nieporozumienia wypływają konsekwencje: zamknięta karta przeszłości otwiera się w przyszłość. Poprzez pozytywną postać swego bohatera, Niemca — katolika sugeruje Dobraczyński pogląd, że na tym gruncie porozumienie jest możliwe do osiągnięcia. Trzeba tylko być „człowiekiem“ („coż zawił twój brat Niemiec?“) i trzeba być katolikiem. Ta koncepcja ucieleśnia się poprzez postacie dwojga nieszczytnych zakochanych (Herbert — Oleńka) choć hymen nie święci tym razem tryumfu, to jednak tkwiąca potencjalnie w powieści możliwość... domaga się tylko trzeciego tomu.

Postawienie zagadnienia na płaszczyźnie matrymonialno-wyznaniowej likwiduje problem społeczno-polityczny, a książki Dobraczyńskiego, które ze względu na niewybredność ich kształtu artystycznego szybciej pograżyłyby się w niepamięć niż powstały — domagają się szczególnej analizy właśnie i tylko ze względu na ich wydzwięk polityczny Skąd wywodzi się tego rodzaju nastawienie autora, jakie jest jego źródło? Nie ma co ukrywać. Wynika to z książek Dobraczyńskiego wyraźnie.

Postawa Dobraczyńskiego to owo dramatyczne nastawienie na „Zachód“, per fas et nefas na Zachód, stąd płyną wszystkie konsekwencje począwszy od wybaczenia a skończywszy na apologii. Stąd cynizm oświadczenia, że „napastowały go myśli, że może wszystkie wieści o okrucieństwie i podłości niemieckiej były wyolbrzymioną plotką, (Szata godowa), s'ad twierdzenie, że, patrząc na żołnierzy niemieckich na znajomych ulicach (Warszawy!) i dziwił się, że mu się ich twarze wydają nawet sympatyczne, (Szata godowa). I wcale nie o to chodzi, by uwiaryścić ludzi w biologicznej nienawiści do Niemców. Na tej płaszczyźnie stawia gdzie indziej sprawę właśnie Dobraczyński. Chodzi o postawienie Polski w takiej a nie innej konstelacji politycznej.

Bo kiedy przez usta niemieckiego oficera Dobraczyński wypowiada zdanie, że „sprawadziliśmy ich (t. Polaków), do właściwych proporcji a równocześnie uwolniliśmy ich od żydów i nadalimy bieg ich życia gospodarczemu“, kiedy obdarza tego samego oficera niemieckiego proroczym spojrzeniem w przyszłość i każe mu zająć „właściwe“ stanowisko wobec naszych ziem nadodrzańskich — „Marzy się wam kraj od Odry, kraj którymyście ani władca nie potrafił, ani którego nigdy nie zdążylibyście zaludnić“. — to z drugiej strony brak jakiegokolwiek przeciwwagi. Któraby dowodziła, że ten oficer niemiecki nie jest wyrazicielem wyznania wiary samego Dobraczyńskiego. Zgodny on jest z nim także w swej postawie zasadniczej, że nie powinniśmy byli walczyć przeciw sobie!

Nie powinniśmy byli walczyć przeciwko sobie, bo jesteśmy częścią Europy, bo dla Dobraczyńskiego „Europa“ kończy się właśnie na Polsce. Dalej — Azja, świat Mongołów.

Wynuszy tezę dowodzi jej Dobraczyński również konsekwentnie jak naiwnie. Depiero w tym zestawieniu nabiera swojej wymowy wzajemny stosunek do siebie Polaków i Niemców. Właśnie przez ich zestawienie ze Związkiem Radzieckim. I znowu nie o grubą nić sztytła chodzi, fałsz łatwy do zbięcia, ale o wydzwięk ostateczny, koncepcję polityczną, którą Dobraczyński chce narzucić czytelnikowi. A że cel uświęca środki, każe hasać po ulicach miast radzieckich w okresie niemieckiej ofensywy rozbrzykanym koniom kozackim. Każe w ostatecznej panice rzucić „sfanatyzowanej“ młodzieży radzieckiej granaty do domów opuszczonego miasta, mieszkań, w których jeszcze zostały dzieci. Galop inwencji Dobraczyńskiego prześcignął galopu-

jące konie, czyż wobec tego mogły te inwencji ująć w cugle znane wszystkim fakty — jak odbyła się ewakuacja i opieka nad ewakuowanymi w Związku Rodzieckim? Ale papier jest cierpliwy.

Istnieje martyrologia Polaka (według autora może konieczna: „widocznie musieli plakać...“), ale istnieje martyrologia Niemca... w Związku Radzieckim. Tej właśnie poświęcona jest duża część tomu drugiego i w ten sposób pogłębia się duchowe porozumienie Niemca z Polakiem, a wyrasta mur między Polakiem a Rosjaninem. Charakterystyczne, że w obozie rosyjskim spotykają się właśnie Polacy i Niemcy, charakterystyczne są te nagłe olśnienia i niedomówienia. „Ach, więc tak wyglądają transporty w Rosji“, charakterystyczne postaci białych emigrantów, których wzywa pod koniec życia ojczyzna by oddali jej to, czego się po nich spodziewa. Obok tego „pogłębienia“ problemu: koncepcje historyczno-filozoficzne o tym, że „nie marksizm prowadzi Rosję, ale porywy pragnień duszy rosyjskiej rozsada doktrynę“, teza, że przyszłość Rosji już nieraz była wykrywana dłońmi obcych, Holendrów, Anglików, Niemców (nie dopowiedziane czyimi rękami obecnie). — Są to tezy równie apodyktyczne jak fałszywe, równie nie przekonujące jak sfera porównań do których ucieka się rozbrzykana fantazja Dobraczyńskiego: „Bolszewicy walczą jak dżdżliwie zwierzęta... jak prawdziwi szatani“. I w gruncie rzeczy staje się całkowicie obojętne, kto te prawdy wygłasza: Niemiec, czy sam autor, czy może ktoś trzeci. Ważny jest ich wydzwięk, ważne jest to właśnie, że u nas, w Polsce, w kraju najbardziej przez Niemców sporniewierzanym moralnie, że właśnie u nas, obecnie w chwili, gdy Zachód wykruwa broń odwetu Niemiec — ukazuje się książka, która zrodzona in extenso na gruncie niemieckim mogłaby być uznana za pierwszy tom literatury odradzającego się niemieckiego fałszu. Wobec tego, gwoli jednolitości stylu jedynie — obrazy partyzantów i ich walk: „w lasach kryły się bandy partyzantów ogniatych prawdziwie azjatyckim fanatyzmem. Nie cenili oni swego życia bardziej niż życia swych wrogów. Każdy z nich w ostatniej agonii gotów był jeszcze zabijać faszystowskich psów (chyba psy przyp. mój). Walczyli zacięcie, rzucając się w pojedynkę na kompanię bez troski o życie, bez nadziei nawet ocalenia siebie, ogarnięci czymś, co już nie jest odwagą (i przyp. mój) ale szaleństwem, pożądającym tylko (podkreślenie moje) jednego: zadania wrogowi jak największych strat“.

Komentarz zbyteczny. Wystarczy: „bandy“, „azjatycki fanatyzm“, „szaleństwo“ — nie odwaga“ i to skromne „tylko“. A że Dobraczyński zna wagę, wartości i siłę emocjonalną kontrastu między tym już na tle utraconego uprzednio obrazu „znakomitych“ wyczynów zdyscyplinowanych lotników niemieckich, nie zapominając oczywiście o przytoczeniu ich nazwisk („Były to sławne (!) eskadry“ itd.). Im, lotnikom którzy rzucili pierwsze bomby na pogrążone we śnie miasta, którzy z karabinów ostrzeliwali szosy pełne uchodźców — wystawił Dobraczyński pomnik w swoich książkach. „Ciężka była wtedy praca lotników (nb. chyba ciężka — przyp. mój). Dzień i noc na służbie, w nieskończonych lotach nad dymiącym polem walki...“ Wrog przedstawił w ten sposób — staje się wrogiem, staje się sojusznikiem, przyjacielem, tak jak sojusznik w kategoriach Dobraczyńskiego — staje się wrogiem, staje się przyjacielem. „Było to jakiegoś wyraznie niebohaterkie wojsko (Rosjanie), które spłoszyć potrafiło dwóch bezbronnym ludzi... Lecz Herbert poczuł się ich znów kilkoma seriami ognia, po których trzech nowych jeźdźców runęło na ziemię. Reszta zawróciła i za chwilę znikła“. Komentarz i piętowanie fałszu zbyteczne — armia, która własną krwią okupiła zwycięstwo nad faszystem już przeszła do historii — tutaj wystarczy zestawienie kontrastów uczuciowych: dwaj obdarci bezbronnymi ludźmi (oczywiście Niemcy) — tam niebohaterkie spłoszone wojsko „poczęsto-

wane“ kilku seriami. Tak wygląda emocjonalnie nasycona koncepcja zachodnia, koncepcja kulturalnej Europy i sfanatyzowanej dzikiej Azji.

Nasza droga? Jasne. Bez cienia wahania, Dobraczyński stawia kropkę nad i. Partyzant, który odrzuca wyciągniętą do wspólnej walki z Niemcami rękę Rosjanina — jest nosicielem dobrze znanej u nas koncepcji.

„Nie sądzę, byśmy wolność tak samo rozumieli. Walczmy lepiej oddzielnie“. Jeszcze wciąż zamykają się oczy na widok przerażających niezatartych śladów „kultury“ Zachodu, jeszcze żywa jest pamięć tych dni, kiedy odrzucone zostały propozycje wspólnej walki z faszystem, Dobraczyński wraca do tej koncepcji. Znajduje wspólny język z przedstawicielami i realizatorami polityki sanacji. Koncepcja jego tkwi korzeniami w przeszłości, co prawda nie dalekiej, ale ma już swe tradycje brzmiące w skutki o historycznym znaczeniu.

A jeśli uświadomić sobie, jaka była linia ewolucyjna polityki sanacyjnej, „pięknie“ zapowiadające się porozumienie Piłsudskiego z Hitlerem, jeśli uświadomić sobie, że wyrastała i krzepła ta koncepcja polityczna na tle akcji pacyficyzacyjnych na Kresach i w miastach w sercu kraju, jeśli uświadomić sobie, że wrota więzień otworzyły się dla działaczy robotniczych dopiero na bełpańskiej ziemi, na którą już wkroczył wróg — to trzeba stwierdzić, że kontynuowanie tej koncepcji politycznej przez niektórych pisarzy obecnie wyrasta również na gruncie ich określonej koncepcji społecznej. Nie jest przypadkiem, że bohaterami obracającymi koło historii jest właśnie ziemianin i ksiądz, korporant (korporacja „Juventus“) czy ideologicznie bliski im nauczyciel. To wszystko „nosićiele idei“. Idea ta, ma przekształcać i urabiać rzeczywistość. Taką inteligencją i tylko taką chciałby widzieć Dobraczyński — taka ma jego zdaniem do spełnienia misję w dziejach Polski. *Conditio sine qua non* — katolickość i obrona okopów Św. Trójcy.

Nawet przez przymierze z wrogiem. I tutaj nie zawadzi przytoczenie cytatu z „Szaty godowej“ „Wracam z Hrubieszowa. Nasze żony przeżyły tam ostatnio straszne chwile. Koszary zrabowane. (a propos — chyba obrabowane), wszystkie mieszkania oficerów i podoficerów zrabowane, splądrowane, zniszczone. A wie Pan, kto się nam tak przysłużył? To nie Niemcy, ale nasza własna hrubieszowska ludność, te bandy, które się karmiło z żołnierskiej kuchni, na które robiło się zbiórki, którym budowało się szkoły. Pfu! Wstyd powiedzieć, ale to Niemcy ocalili resztę naszego mienia a może także i życie naszych żon i dzieci. Z karabinów maszynowych strzelali do tego tałatajstwa. Nasze Panie musiały im dziękować“.

Kto są te bandy „tałatajstwo“, dla którego budowało się szkoły, karmiło i urządzało zbiórki — wiadomo. Wiadomo, że to „nasza własna ludność“.

I że przeciwko tej „naszej własnej ludności“ trzeba było wystawiać niemieckie karabiny maszynowe. I że nasze piękne „panie“, musiały Niemcom dziękować. Dziękować wtedy, kiedy rękami Buczaków broń się bohaterka Warszawy.

Tak zamyka się koncepcja „zachodnia“ Dobraczyńskiego. Usprawiedliwienie i apologia Niemiec, usprawiedliwienie zdrajców narodu polskiego w rodzaju Henryka Kostrzewy („Oby Bóg, który patrzy w głębokość serca i zna nie tylko miarę, ale i przyczyny ludzkiego szaleństwa, zechciał cię pokropić hyzopem łaski, abyś ponad śnieg stał się białszy“) staje się zrozumiałe. A pewne i niewątpliwe jest to, że „odpuszczenie nam nasze winy“ jest tylko szatą, maskowaniem równie pewnej, niewątpliwej i wyraźnej treści społeczno-politycznej.

Barbara Rafałowska

* Jan Dobraczyński: „Najeźdźcy“. Oficyna Księgarska 1946, Szata godowa, Rozwalony dom.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List dwudziesty dziewiąty)

KRAKÓW ma swój kształt nie tylko architektoniczny. Także — ludzki. Plastyka figur niby żywych jest tu w pewien sposób czarująca. Ostatnia sala w Kawiarni „Grand“ — coś za sinak ma ten pozagrobowy wersal. Stoliki z hrabiami pokreconymi fizycznie i profesorami pokreconymi umysłowo. Przychodzi tu także pewien głodujący literat, zdolny i dojrzały, który głoduje dla stylu, żeby sprawić radość hrabinom. Hrabiny — wszystkie bez wyjątku — przypominają Marię Dulebę w „Wariatce z Chaillet“. Trzeba było widzieć te wielkie aktorkę w tej roli. Znowu człowiek będąc w Krakowie czuł się, jak w Paryżu.

Ale mało — hrabiowie! w Krakowie istnieje jeszcze sznoblizm arystokratyczny. Pewna pani — zupełnie poza tym przytomna — poprosiła mnie kiedyś do siebie na herbatkę, prowadziła salon literacki. Dla zachęty powiedziała mi, że u niej bywa arystokracja i pisarze tylko z nazwiskami. Oczywiście nie chodziło jej o literackie nazwiska literatów.

Rzeczywiście trzeba powiedzieć, że wśród

pisarzy krakowskich nie brakuje nazwisk utytułowanych. Sami Roztworowscy mogliby zrobić własny klub, czy nawet blok współzawodniczącego ze Szczepańskimi, radykałami. A Szczepańskich jest tu, jak wiadomo, tyle, że ten najgłośniejszy, Jan Alfred, żeby jakoś się wyróżnić, musiał zmienić nazwisko — na Jaszcz. Więcej jest tylko Dobrowolskich. I znowu, żeby się wyróżnić ten najważniejszy z nich, Henryk, zostaje prezydentem miasta. Lepsze to nawet od zmiany nazwiska.

A propos — lepszy. Najlepszy z Lepszych — to profesor, Kazimierz Lepszy, historyk. Znakomity znawca Śląska. Bo nie prawda, że wszyscy profesorowie UJ — to mamuty. Są właśnie i tacy, których znawstwo epoki piastowskiej usposabla twórczo — nie kłóci z postępem.

Ale nie odbiegamy od hrabiów. Im trzeba poświęcić w całości ten zaledwie trochę deformowany list. W deformacji pomógł mi Tonio Uniechowski.

W Krakowie wrzało. Wraca Janusz Radziwiłł. Zresztą nie tylko w Krakowie. Ba, moż-

na sobie teraz z arystokracją pokpiwać ale Radziwiłł i do tego Janusz... A więc kto mógł biegnąć do granicy witać pierwszego w Polsce księcia. Jeden jest tylko tytuł — mówić Chamfort — książę. Arystokracja, trudno zaprzeczyć oddała pewne usługi literatury. Choćby „Pamiętniki arystokratki“ drukowane niedawno w „Kuźnicy“. Trzeba to jakoś ocenić. I znowu Warszawa była pierwsza... Radziwiłł został urządzony. I znowu Kraków, jak zwykle, się spóźnił. Dostał już tylko jakiegoś Potulickiego.

A więc mamy w Krakowie, bądź co bądź, jeszcze jednego hrabiego — w kulturze. Nie załata coppersa luki, która się zrobiła po wyjeździe Brezy do Warszawy — ale zawsze będzie. A ma być ten właściciel historycznego nazwiska lektorem powieści historycznych w jednym z wydawnictw.

Z okazji tego powrotu Balicki wydaje specjalny numer „Dziennika Literackiego“ pod tytułem „Arystokracja — chłop!“ Poczem nastąpi przyjęcie nielicznych hrabiów do liczących Stronnictw Ludowych.

Tak się toczy koło historii.

A pogoda się znowu poprawiła, chociaż był już w Krakowie prawie mróz. We wrześniu...

W Krakowie widzimy bardzo szczerą motywację historii. Zachowują się tu dłużej kształty dawne — ale przez to i nowe rzucają się w oczy w sposób nader groteskowy...

— Jakto — zdziwił się — nie ma pan sygnetu? To niech pan pożyczyci od krewnych lub znajomych...

nym subjektem jest — Sobalski. Bardzo dumny już tylko z tego, że jeden z jego stryjów był znanym literatem...

Najzabawniejszy jednak wypadek zdarzył mi się na poczekaniu. Przyniosłem do wysyłki paczkę ładnie nawet zawiązaną, zalakowaną...

— Jako to — zdziwił się — nie ma pan sygnetu? To niech pan pożyczyci od krewnych lub znajomych...

— Nie wiem, czy zrozumiał dobrze moje powiadzenie, bo odpowiedział: — Tak.

Wszystko jedno — żarty żartami, a paczkę wysłać trzeba. Udałem się więc do przyjaciół herbowych. Ale ani Breza, ani Mycielski, ani Radogost-Uniechowski nie mieli sygnetu...

Urzędnik na poczekaniu spojrzął najpierw na paczkę, potem na mnie podejrzliwie: — Czy to pański znak? — Mój — skłamałem.

— Patrzaj na mnie uważnie. Być może, że twarz moja przypominała mu znane oblicze Janusza Radziwiła.

Stefan Gryń-Otwinowski.



NIEKRAZ już pisaliśmy na tym miejscu, że obóz reformy jest obozem siły moralnej i że wstępnictwo krok za krokiem zostaje spychane na pozycje szantażu...

Ze tak jest istotnie, świadczy o tym każdy centymetr kwadratowy codziennej gazety w pierwszym lepszym kraju na zachodzie...

System polityki anglosaskiego imperializmu staje się coraz wyraźniej systemem nadyżycia. Jeśli szantaż bomby atomowej jest nadużyciem moralnym, to w planach zagadnień gospodarczych system działa za pomocą nadużycia materialnych...

System polityki anglosaskiego imperializmu staje się coraz wyraźniej systemem nadyżycia. Jeśli szantaż bomby atomowej jest nadużyciem moralnym, to w planach zagadnień gospodarczych system działa za pomocą nadużycia materialnych...

Uważny obserwator wypadków spostrzeże niewątpliwie charakterystyczny proces, który coraz wyraźniej zarysowuje się w układzie ideologiczno-politycznym współczesnego świata...

PRZEGLĄD PRASY

Ostatni (7-8) numer „Myśli Współczesnej” przynosi wśród obfitego materiału dwie prace o Ludwiku Krzywickim.

Edward Strzelecki kreśli raczej biograficzną sylwetkę znakomitego uczonego, Ilii Epszejnej w artykule „Ludwik Krzywicki — uczonego — nauczyciela — człowieka”...

W tym samym numerze redakcja zamieszcza Krzywickiego „Rodowód „de” społecznych”.

Jak zwykle w każdym numerze tego doskonałego miesięcznika naukowego, który wbrew dotychczasowej tradycji nie stroni bynajmniej od zagadnień politycznych...

W kronice angielskiej znajdujemy krótki portret ideologiczny znanego angielskiego uczonego J. B. S. Haldane’a, a poniżej — przekład wypowiedzi Haldane’a na temat: Dlaczego jestem materialistą?

„Myśl materialistyczna miała w przeszłości rewolucyjny skutki. Zbudowała ona nauki przyrodnicze i podważyła religie. Ten sam proces zachodzi dzisiaj. Musimy zrozumieć, że współczesne nasze poglądy na społeczeństwo można z powodzeniem przynosić do poglądów na wszechświat naszych przodków...

Myślę, że ta wypowiedź angielskiego profesora, pozbawiona całkowicie rzekomych elementów „wiewcowo-propagandowych” budzących sprzeciw części prasy katolickiej, nada się świetnie do sztabucha redaktora „Tygodnika Warszawskiego”...

— Ani „Dziś i Jutro”, ani „Tygodnik Warszawski” nie przyniosą od dłuższego czasu nic takiego, co mogłoby wzbudzić większe zainteresowanie. Być może, że czytelnicy z góry przekonani o programach obu tych pism, czytając je, upewniają się w swoich opiniach...

ny z trudem przedziera się przez stylistyczne i myślowe gąszcz reprezentowanych tam myśli. W tym stanie rzeczy „Tygodnik Powstanie” należy to przyznać, wyklada swoje racje dość jasnie, a co ważniejsze — znacznie staranniej pod względem formy wykładu...

K O R E S P O N D E N C J A

Powieść z nieprawdziwego zdarzenia

Szanowny Panie Redaktorze! Dość późno, jak na porę jej wydania, wpadła do mojej ręki ta nieprawdopodobna książka. Sądzę jednak, że nigdy nie może być zapóźno na to, by ją, jak na to zasługuje, ocenić...

Chodzi o „Najeżdźców” Dobraczyńskiego. Jak wynika z tytułu, autor pokusił się o odwołanie ducha, psychologii, dziejów i czynów ludzi (lub nie ludzi) spod znaku swastyki. Pisarz narodu, którego kraj był areną najstraszliwszych i najohydniejszych wyczynów nazistowskich, pokazał nam nazim w typach, umysłowości i motywach działania „u siebie”, „po domowemu”...

„Najeżdźców” — to jest książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej...

pisma recenzji p. Kiersta. Ocena wierszy Rymkiewicza dokonana przez tego recenzenta jest uczuciowa i subiektywna, daleka od norm jakiegokolwiek poetyki.

Podobny przykład hieroglify trudnego do odcyfrowania, a jeszcze trudniejszego do ujęcia w jakiejś kategorii, dało nam „Dziś i Jutro” w ostatnim numerze, gdzie na pierwszej stronie redakcja wymienia najwybitniejszych jej zdaniem autorów polskich...

K O R E S P O N D E N C J A

Powieść z nieprawdziwego zdarzenia

„Najeżdźców” — to jest książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej...

„Najeżdźców” — to jest książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej...

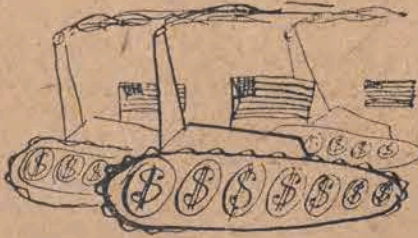
„Najeżdźców” — to jest książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej. Jest to książka, która jest wyjątkiem w literaturze polskiej...

Harald Ordjoels

Koty

Miliardy, miliardy...

Przemawiając w N. Yorku na konferencji prasowej, w której wzięło udział około 700 dziennikarzy, szef delegacji ZSRR na sesji ONZ — min. Wyszyński zwrócił m. in. uwagę na ogromne zyski wojenne przemysłowców amerykańskich. Na podstawie statystyk oficjalnych, min. Wyszyński przytoczył cyfry, ilustrujące wzrost tych zysków, po potrąceniu wszelkich podatków oraz dywidend od inwestycji zagranicznych.



Tak więc dochody przemysłu amerykańskiego wynosiły ogólnie:

R. 1934	— 0.860 mil. dol.
" 1939	— 4.735 " "
" 1940	— 6.112 " "
" 1941	— 9.087 " "
" 1942	— 9.098 " "
" 1943	— 9.875 " "
" 1944	— 9.681 " "
" 1945	— 9.020 " "

Z tej tabeli wynika, że zyski kapitalistów amerykańskich w ciągu dziesięciolecia 1934—1944 wzrosły przeszło 11-krotnie, zaś suma zysków wojennych (1940/45) osiągnęła zawrotną wysokość — 52,853 mil. dolarów. Wojna jest niewątpliwie „doskonałym interesem”, choć nie dla wszystkich, oczywiście. Jakże tu się dziwić, że użytkownicy rzezi narodów marzą o repetycji. **bd.**

Pobożność w stylu kanadyjskim

Na posiedzeniu Komisji gospodarczo-społecznej O.N.Z., delegat Polski — min. Pruszyński poruszył sprawę grupy dzweczaków polskich, wywiezionych z Niemiec zachodnich do Kanady i zatrudnionych w jednym z przedsiębiorstw przemysłowych.



Min. Pruszyński wysunął pod adresem władz kanadyjskich dwa konkretne zarzuty: 1) że dziewczęta polskie są wyzyskiwane materialnie, otrzymują bowiem daleko niższe płace, niż robotnice miejscowe i 2) że dziewczęta ułokowano w klasztorze(!), skąd wolno im wyjechać jedynie pod eskortą księdza lub zakonniczki(!).

Bardzo znamienne jest zestawienie tych zarzutów, określających w pełną sytuację robotnic polskich w Kanadzie. W parze z ordynarnym wyzyskiem kapitalistycznym idzie obłudne religianctwo, które posuwa się aż do zamknięcia robotnic w klasztorze i dodawania im „eskorty” duchowej, jeśli wyjść z tego więzienia chcą czy muszą. Cynicznej eksploatacji polskich robotnic towarzyszy wzruszająca troska o ich zbawienie wieczne. Dlatego też, gdy wychodzą ze swego więzienia, oddawane są pod straż księdza lub zakonniczki, którzy mają je strzec przed grzechem.

Chodzi tu niewątpliwie o grzechy przeciwko „świętemu” zasadom ustroju kapitalistycznego. Chodzi o to, by „białe niewolnice” nie stykały się ze światem zewnętrznym, nie szukały kontaktów ze środowiskiem robotniczym, nie żądały polepszenia warunków nędznego swego bytu. Ostatecznie, z pewnego punktu widzenia, te środki zapobiegawcze są całkiem zrozumiałe. Trudno natomiast zrozumieć, dlaczego w charakterze nadzorców i strażników angażuje się w dany raz księży i zakonniczki. Czyżby to były jakieś szczególne obyczaje kanadyjskie?.. Bo przecież w innych krajach kapitalistycznych do funkcji tego rodzaju wystarczają po prostu — policjanci. **bd.**

Czasopisma polonistyczne

Którś z pism witając wznowienie miesięcznika „Nauka i Sztuka”, poświęconego sprawom kultury i wiedzy o literaturze — napisali, że tylko „Kuźnicy” ten „pożyteczny i wartościowy” miesięcznik nie podobał się. Szkoda, że tylko „Kuźnicy”, szkoda, że tylko „Kuźnica” ma tu rację.

Pisano wielokrotnie jak wielkie społeczne znaczenie ma dziś u nas wiedza o literaturze.

Pisano o potrzebie nowego wyboru klasyków do szkół, świetlic, bibliotek powszechnych. Pisano o potrzebie nowych komentarzy historyczno-kulturalnych. Pisano o palącej potrzebie nowego podręcznika historii literatury polskiej. Pisano, iż właściwe badania

monograficzne nie przeorały dotąd ugoru naszej tradycji literackiej, aby taki podręcznik mógł powstać. Pisano, iż nie dokonała się w pełni rozprawa krytyczna z literaturą lat międzywojennych. Pisano, że brak podstaw naukowych całej naszej polityce kulturalnej, która w wielkiej mierze ma do czynienia z czytelnictwem i książkami.

Zadania, które potrzeba społeczna, które potrzeba rewolucji kulturalnej, które zasada użyteczności społecznej stawia dziś przed polonistami, były już sformułowane. Trzeba na nowo przeczytać literaturę polską tak, by wyodrębnić i spopularyzować jej zagłuszony przez mieszczańską krytykę nurt postępowy. Trzeba te książki poprawnie wydać i objaśnić. Nasza wiedza o literaturze, była albo blahym plotkarstwem, albo równie blahym gadulstwem estetycznym, albo w najlepszym razie dostarczała jednostronnych informacji, o poglądach religijnych naszych pisarzy i ich stosunku do metafizyki i filozofii swego czasu. W ogóle nasza historia literatury sztucznie wyodrębniła badaną przez siebie dziedzinę z całości życia społecznego. Jej genetyczne interpretacje dążyły do ustalenia stosunku książek do innych książek. Twórczość i jej dążenia nigdy nie były konfrontowane, nie były wyprowadzane z konkretnych rzeczywistości historycznej, z konkretnych stosunków w Polsce. Wydawało by się, iż sprawa jest jasna. Potrzeby poznawcze, społeczne i polityczne wołają o to samo. Wołają o uzupełnienie tych luk w naszej wiedzy o literaturze. Trzeba przede wszystkim zbadać stanowisko społeczne i polityczne naszych pisarzy, trzeba wyznaczyć im miejsce w historycznym wachlarzu zorganizowanych ruchów społecznych, ich czasów. Trzeba zerwać ze sztuczną izolacją literatury, trzeba rozważać jej dynamikę w związku z procesami rozwojowymi całego społeczeństwa. Trzeba konfrontować książki z rzeczywistością, w której powstały, aby móc powiedzieć, jakie treści ideologiczne zawierają, jakiej klasy społecznej ideologię reprezentują. W Polsce mamy pięć pism kierowanych przez historyków literatury i zasadniczo poświęconych wiedzy o literaturze: „Twórczość”, „Zeszyty Wrocławskie”, „Nauka i Sztuka”, czasem ukazują się pojedyncze numery „Zagadnień Literackich”, podobno wychodzi „Pamiętnik Literacki”. Wszystkie te pisma w ogóle nie zauważyły „zamówienia społecznego” pod adresem polonistów, które wyżej się raz jeszcze sformułowało. Polonisci nasi fabrykują naiwne i niewinne przyczynki. Fabrykują wykwitne eseje o niczym. Zachowują się jak gąbki nigdy nie. Ich pisma także. Proszę mi nie mówić, że atakuję tu swobodę twórczą. Komentarze krytyczne są tym gatunkiem pisarskim, którym najłatwiej rządzić może nie fantazja twórcza, ale rozumny plan i potrzeba społeczna.

Doceniam dobrze wartości i znaczenie wymienionych wyżej czasopism. Doceniam ich rolę kulturalną. Z szacunkiem myślę o pracy ich redaktorów. Są to pisma potrzebne. Muszą istnieć pisma poświęcone poważnej problematyce kulturalnej, pisma naukowe i półnaukowe, które by mogły drukować studia o starzych poetach, o zabawnych i pięknych książkach przeszłości. Ale ostrzegam — nie wolno tak lekceważyć potrzeb społeczeństwa. Ostrzegam, że nasze czasopiśmiennictwo znalazło się nad brzegiem przepaści. Ta nonszalancja musi się zmiesić, o ile błędy nie zostaną natychmiast naprawione.

Któs tam zdziwił się, że „Kuźnicy” nie podobają się nudna, jałowa „Nauka i Sztuka”, nie podobają się nam istotnie profesorskie gładzenia o kulturze, mielące jeszcze raz w ciągu pół wieku te same rozwożone myśli Dilthey’a, Vosslera i innych niemieckich idealistów. Ale komu to się właściwie podoba? Kontrast między ważnymi książkami i pracami o literaturze, na które społeczeństwo niecierpliwie czeka, a gładzidłami i miniaturkami, wytworzościami naszych pism polonistycznych jest tak wielki, iż trudno będzie się dziwić, gdy społeczeństwo odwróci się od tych pism i uzna je za niepotrzebny luksus. To przecież jest paradoks! „Zagadnienia Literackie” czy „Pamiętnik Literacki” walczą z trudnościami materialnymi. A jednocześnie ministerstwo wzdycha do dobrego pisma polonistycznego. Dlaczego to „Pamiętnik Literacki” nie chce być dobrym pismem? Dlaczego ani „Twórczość”, ani „Zeszyty wrocławskie” nie przynoszą więcej odpowiedzi na te palące pytania, które na temat literatury stawia wydawca, wykładowca TUR-u, bibliotekarz świetlic, nauczyciel, czytelnik i nauka wreszcie?

My chcemy wiedzieć o co walczyła „Gwiazda” kijowska, gdy pisywał do niej Syrokom-

la. Jaką ideologię reprezentował T. T. Jeź w „Pamiętnikach starającego się”, czy Rzewuski był reakcjonistą, o co wodził spór ideowy Ujjejski z Polem. Chcemy wiedzieć nie to czy Asnyk był „postępowy”, ale konkretnie, jakiej grupy społecznej dążenia wyrażał. W jakich był stosunkach z pierwszymi socjalistami. Chcemy wiedzieć, jakie było stanowisko polityczne filomatów, dlaczego mieli tak bardzo podobne hasła do hasła Gribojedowa, choć ten z nimi nie pijał mleczka na podmiejskich wycieczkach. Spróbujcie się tego dowiedzieć z zeszytów naszych pism polonistycznych na przestrzeni trzech lat niepodległości.

Nie możemy dopuścić do pogrzebienia przez nonszalancję naszych polonistów tak ważnych placówek kulturalnych jakimi są miesięczniki krytyczno-literackie. Redaktorzy tych pism muszą zwrócić uwagę na istotne i pilne potrzeby społeczne w zakresie historii literatury. Sami są profesorami, mają wpływ na innych profesorów, mają uczniów i seminaria. Tam muszą zastać zorganizowane cele, potrzebne prace. Rezultaty tych prac powinny wypełniać nasze miesięczniki polonistyczne. Niech wypłyną informacje i oceny Jezierskiego, Mierosławskiego, choćby parę wrażeń z powieści na nowo przeczytanej Dzierżkowskiego czy Szyrmera. Choć parę zdań o tym, co znaczyło politycznie, jaką miało funkcję społeczną wXVI w., w strukturze klasowej ówczesnego społeczeństwa zwalczanie „zniewieściałości szlachty” w „Satyrze” Kochanowskiego. Trochę sensu w tej robocie. A od razu i społeczeństwo inaczej będzie oceniało pracę polonistów. Znajdą się środki na polonistyczne wydawnictwa, na przekór żalom Czesława Zgorzelskiego w „Tygodniku Powszechnym”.

Mam taką naturę, że piszę dość gwałtownie. A jednak chciałbym, aby redaktorzy krytykowanych tu pism zrozumieli moją życzliwą troskę. Nie jestem wrogiem polonistycznym periodyków. Przeciwnie, jestem ich fanatycznym obrońcą, czując się człowiekiem z tej samej „ferajny”. Rozumiem, iż nadto dobrze trudności pracy redaktora takiego pisma. Ale mimo to, i dlatego właśnie wzywam do radykalnych reform. Dlatego ostrzegam, że nie można dłużej lekceważyć potrzeb społecznych, żeby uchronić naszą polonistykę i jej czasopiśmiennictwo przed zawsze przykrym starciem beztrojski intelektualistów i surowej potrzeby społecznej. Trzeba tym potrzebom wyjść na spotkanie, tak każe rozsądek, tego wymaga dobro polonistyki. Zawierzcie mi — na tej drodze jest odrodzenie i rozkwit nowej historii literatury. **żk.**

Niepotrzebne słowo

Słowo „lumpenburżuazja”, które pojawiło się niedługo w „Kuźnicy”, zaprzęta umysły w okolicy „Gazety Ludowej”, w Nr 283 felietonista Dr A. Mat. zestawiał wszystkie głosy, ubiegające się o palną pierwszeństwa za wprowadzenie tego słowa i twierdził, że byłoby to ogromnie zabawna historia, gdyby nie raziła ucha. „Gazeta Ludowa”, jak zwykle, martwi się tylko o to, że jak powiada, „wraz „lumpenburżuazja” jest okropnym nalotem na język polski”. Sądzę raczej, że jest nalotem na język, na podobieństwo anginy, a naloty na coś, na określone obiekty, są specjalnością band leśnych, więc nie należy mieszać tych pojęć. Och, puryści, puryści! Kto mieczem wojuje, od miecza gnie. Ale rozi, miem doskonale zmartwienia językowe „Gazety Ludowej”. Czy na przykład wyraz „burżuazja” nie jest przykrym nalotem? Puryści nie powinni używać tego wyrazu. Nie było w Polsce burżuazji i nie ma jej, ponieważ to słowo jest obcego pochodzenia. Chciałbym pocieszyć Dr A. Matę. Nie ma rzeczywistości żadnego powodu do wprowadzenia wyrazu „lumpenburżuazja” na stałe i jeśli wyraz ten zaczął robić karierę, to najwięcej zawiniła w tym, jak sądzę, „Kuźnica”.

A. Szpakowicz („Kuźnica” Nr 83) usiłując stworzyć nową kategorię historyczną, nową warstwę społeczną, którą nazwał „lumpenburżuazją”, powołał się na Rogoś, kto użył tego wyrazu w 1946 r. Nic dziwnego, że Jan Kott chętnie przyznał się do autorstwa. Po tem okazało się, że jeszcze konspiracyjny „Robotnik” za okupacji w 1943 użył tego wyrazu. No i wreszcie przypomniano sobie, że wyraz ten kursował wśród socjalistów jeszcze przed pierwszą wojną światową, określano nim najczęściej szynkarzy i lichwiarzy. Fakt, że poszedł w zapomnienie, świadczy o tym, iż był używany sporadycznie, bez naukowych pre-

tensji, jako termin ukuty przez powierzchnową analogię do lumpenproletariatu.

Klasy i warstwy społeczne są kategoriami historycznymi, określa się je według udziału w produkcji i obrocie gospodarczym w danym okresie historycznym, w danym ustroju. Należy do niej przeważnie elementy przestępcze, nie uprawia do obejmowania tą nazwą wszystkich osobników, żyjących w kolizji z kodeksem na przykład zawodowych aferzystów i hochsztaplerów, poruszających się w łonie burżuazji. Wstręt do szynkarza i lichwiarza mógł podyktować na chwilę robotnikom słowo „lumpenburżuazja” bez żadnych pretensji socjologicznych; faktycznie szynkarz należy do klasy drobnomieszczańskiej, należy do niej również lichwiarz, choćby jego drobnomieszczańscy sąsiedzi patrzyli na jego zawód z pogardą.

Za okupacji można było użyć tego terminu corażnie w stosunku do tych, co bogacili się na spekulacji, na szabrze, na konszachtach handlowych z Niemcami i rabunku majątków żydowskich. Wytworzyła się rzeczywistość nowa formacja burżuazji, która wyrosła z najrozmaitszych elementów, przeważnie drobno, mieszczańskich, częściowo jednak chłopskich i nawet robotniczych. Otrzymała przyspieszony awans dzięki operacjom sprzecznym ze zwykłymi pojęciami moralnymi burżuazji. Różni się ona od dziedzicznej burżuazji niższym stanem kultury. Ale sposób zdobycia awansu nie tworzy jeszcze odrębnej kategorii historycznej, specyficznej warstwy społecznej. Po zniknięciu warunków wojennych, kiedy wyczerpują się możliwości szabru i przywłaszczenia, w gospodarce pokojowej, ta formacja przejmując cechy normalnej burżuazji i przybiera nawet jej normalną obłudę etyczną. W rodzinach wczorajszych szabrowników nikt się nie przechwał grabieżą, dzieci nabierają oglady, czytają te same książki, co dzieci dziedzicznej burżuazji, dochodzą do tych samych upodobań i nawyków. Udział w życiu gospodarczym, przeważnie w handlu prywatnym i przemysle, decyduje o przynależności tej sfery do burżuazji, a że wydaje ona obecnie stosunkowo więcej spekulantów, niż inne sfery, to już kwestia nabytej pracy. W dzisiejszej rzeczywistości gospodarczej można mówić o spekulantach bez względu na ich pochodzenie i nie ma żadnego powodu wyróżniać odrębną warstwę ze względu na pochodzenie majątku. Naturalnie — nawet dzisiejsza burżuazja, uszczuplona i skrepowana, odróżnia w swoim łonie rozmaite sfery, zależnie od splendoru pochodzenia, od typu kultury i obyczajów, od stosunków towarzyskich, ale żadna z tych sfer nie może nosić nazwy tak dalece wyróżniającej jak „lumpenburżuazja” i tak nieuzasadnionej, bo analogia do lumpenproletariatu wskazuje na ludzi nie biorących udziału w życiu gospodarczym. Nazwa jest niefortunną, a temat nie dotyczy warstwy społecznej, ale tylko pewnej sfery w łonie mieszczaństwa, noszącej szczególne piętno moralne. Można dla niej znaleźć jakąś prostszą nazwę. **awk.**

O co toczyła się wojna?

Brytyjski tygodnik „Forward” ogłasza artykuł na temat „szkockich dziewcząt i jeńców niemieckich”, w którym autor podkreśla, że wypadki ślubów, zdarzających się między młodymi szkotkami i jeńcami niemieckimi, prasa konserwatywna reklamuje w ten sposób, że publiczność zaczyna się zastanawiać nad zagadnieniem „o co właściwie toczyła się wojna?”



Autor wysuwa ironiczne twierdzenie, że jeńców niemieckich należy wysłać jak najszybciej do Niemiec, gdyż „nasze dziewczęta kochają się w nich, ponieważ są tak czysti, przystojni, schludni, że dziewczęta myślą o nich, iż mogą być tak samo dobrymi mężami, jak Francuzi, czy Polacy”.

Autor zaznacza dalej, że gdyby urządźć między młodymi kobietami, szkockimi ankiety, czy woła wychodzić zamąż za Polaków, czy Niemców, to Niemcy najprawdopodobniej „odnieśliby zwycięstwo”.

„W niektórych wioskach szkockich ludność zaczyna się zastanawiać nad tym, czy zupełnie mądrze postąpiliśmy walcząc przeciwko Niemcom, zamiast przeciwko Polakom. Wszystko już się pomieszało zupełnie” — konkluduje pismo.

Niestety, zdaje się, nie tylko szkockim dziewczętom. **bs.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.	Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.	
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.	
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.	
CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.	
WARUNKI PRENUMERATY:	
miesięcznie zł 30,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.	
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.	
D-018275 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, żwirki 2.	